

ROLA

Rok IV.
Kraków, d. 13 listopada 1910 r.
Nr. 46.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1.
Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

ŚWIĘTY MARCIN.

Dzień św. Marcina, przypadający na 11 listopada, przedstawia jedną z tych uroczystości kościelnych, z którą związały się liczne a przeróżne, z czasów pogańskich pochodzące zwyczaje i obyczaje, zabobony i przesądy, które jeszcze po dziś dzień u wszystkich narodów przychodzą w najrozmaitszych postaciach, jako przeżytki prastarej, w miesiącu listopadzie obchodzonej, pogańskiej uroczystości.

Sw. Marcin urodził się w Subotycy, dzisiejszem mieście węgierskiem w 336 r. Mając lat 10, bawił w Pawii we Włoszech, gdzie przebywał ojciec jego, jako trybun wojskowy. Tutaj młodego Marcinka przyjął tamtejszy biskup do szkoły katechumenów. Zaledwie ukończył tu swe wykształcenie, przeznaczył go ojciec do służby wojskowej. Tak Marcin, jak i jego rodzice byli poganami. Nieochrzczony, szesnastoletni młodzieniec wstąpił do służby wojskowej, gdzie zaraz został wodzem straży cesarskiej.

Były to czasy wielkiego zepsucia, mimo to młody Marcinek, choć poganin, ale znający naukę Chrystusa, nie uległ ówczesnemu prądowi, lecz, jak mógł, świadczył wszędzie dobrze i łagodził nędzę ludzką.

Jednego dnia — było to w styczniu 354 r. — idąc do miasta przez bramę zobaczył nagle mężczyznę całkiem nagiego, od zimna się trzęsącego i błagającego napróżno przechodniów o wsparcie. Marcin, nie namyślając się wiele, zdjął z siebie płaszcz, a przepołowiwszy go mieczem, jedną połową okrył nagiego a drugą zachował dla siebie. Wynagrodził Pan Bóg jego dobre serce, gdyż wkrótce przyjął Chrzest św., wystąpił ze służby wojskowej, a idąc za wewnętrznym popędem, został bojownikiem Chrystusowym.

Opuściwszy służbę wojskową, udał się do biskupa Hilarego w Piktawach. Ten chciał go wynieść do godności dyakona, lecz Marcin w skromności zadowolił się niższym stopniem kapłańskim. On to, za zezwoleniem biskupa, założył pierwszy klasztor. Podziwienia godne czyny i rzadkie cuda szerzyły sławę jego po dalekim świecie, tak, że pomimo swej woli został biskupem w Turonie.

Stare legendy opowiadają, że pewnego razu, podczas kazania, gęsi przeszkadzały św. Marcinowi. Ten, rozgniewany na nierozumne ptaki, kazał je zarzynać i piec, aby więcej nie robiły niepotrzebnych hałasów. Od tego to czasu, w myśl tejże legendy, ku uczczeniu św. Marcina, spożywają w niektórych okolicach, w wigilię jego święta, gęsi.

Inne podanie mówi, że gdy wybór na biskupa padł na św. Marcina, ten, chcąc uniknąć tej wysokiej godności, ukrył się w gęsiarni. Gęsi, przestraszone jednak jego widokiem, poczęły wrzeszczeć w niebogłosy. Ale ludzie, szukający św. Marcina, poszli do gęsiarni, gdzie był ukryty, odnaleźli go tam i wyprowadzili ku jego wielkiemu niezadowoleniu. Św. Marcin rozgniewany kazał, jak mówi podanie, wszystkie gęsi, które go zdradziły, pozabijać i dać do zjedzenia biednym.

Św. Marcin, zostawszy biskupem, usunął od siebie wszelki przepych i wystawność a zamieszkał w małej celi znajdującej się przy katedrze, prowadząc życie bardzo skromne. Niedługo i stamtąd usunął się do pustelni, zbudowawszy sobie celkę pół godziny drogi za miastem.

Z tej siedziby udawał się do biskupiej katedry w Turonie, gdzie spełniał czynności swego powołania. Wszędzie wspierał biednych, leczył chorych, nawracał pogan, względem bogatych był dumny, względem słabych łagodny. Umarł w 401 roku, mając lat 65.

Nad grobem św. Marcina wkrótce po jego śmierci wzniesiono kaplicę, na miejscu której z biegiem czasu stanęła wspaniała bazylika.

W 250 lat po jego śmierci, t. j. w 650 r., papież Marcin ustanowił na dzień 11 listopada uroczystość kościelną, poświęconą pamięci tego świętego męża.

Krzyżacy na Litwie.

XLVIII. POBOŻNE STARANIA.

Litwa po najeździe Krzyżackim. — Przyjazd królestwa do Wilna. — Strapienie Firleja. — Jagiełło zaczyna nawracać Litwę. — Niszczenie bożków pogańskich. — Mowa królewska. — Lezdejko uchodzi.

W miarę, jak pogromione wojska nieprzyjacielskie opuszczały Litwę, napełniać ten kraj zaczęły tłumy ludu polskiego, poprzedzające przyjazd Jagiełły; najpierwsi, którzy po przyjęciu wiary świętej przez litewskiego księcia przeniknęli do krajów jego dziedzicznych, byli to żebracy, ubodzy i starzy, którzy bądź z pobudek pobożności, bądź dla zysku, o kiju przebiegając wioski i osady, głosili nowego zakonu prawidła i nabożne pieśni śpiewali; postrach ten dzieci i niewiast, został niezatartą w Litwie pamiątką pod nazwiskiem dziadów. Już kraje pograniczne pokojem i szczęściem oddychać na nowo zaczęły. Witold z trudów wojennych wypoczywał w Grodnie, Skiergiełło Troki zamieszkał, gdy wkrótce wieść przyszła, że się królestwo zbliżają do granic litewskich; odtąd nie było dnia, żeby poczet jaki rycerstwa lub dworu króla nie nadciągnął do Wilna. Opuszczając ta rzesza przed półtora rokiem stolicę Litwy, wyjeżdżała po większej części okryta zwierzęcemi skórami, dzika i umiejąca tylko bić się i zwyciężać; strojniejsza i wykształcona wracała. Na wieść powrotu Jagiełły, zaczęli się zjeżdżać z różnych stron panowie z oddaniem mu hołdu, a bardziej, żeby poznać tę sławną Jadwigę, która tak cudownie losy dwóch narodów zmieniła.

Wkrótce huk dział na górnym zamku ogłosił miastu wjazd pana. Aksena, wcześnie uwiadomiona o chwili jego przybycia, wyjechała w towarzystwie kilku pań litewskich za bramę miasta na spotkanie brata; tłok ludu był niezmierny. Król Władysław, otoczony bracią i rycerstwem, wjeżdżał konno do miasta, królowa z paniami w otwartym pojeździe; postrzegano na jej pięknem obliczu tkliwą rzewność, którą ją przenikał widok nowych serca jej dzieci; łzy kryte, ciemne jej oczy rosiły; podobna do dnia cichego wiosny, którego nie oświetla słońce, pokojem i nadzieją darzyła cisnące się tłumy do siebie; szły następnie pojazdy panów polskich, biskupów i duchowieństwa, zabierając przeznaczone w zamkach lub w mieście gospody.

Królowa, siadłszy na dolnym zamku, zaprowadzona do pokojów, które niegdyś zajmowała księżna Olgierdowa, przez resztę dnia wypoczywała z podróży. Król tymczasem w górnej twierdzy na radnej izbie przyjmował hołd uszanowania od strażników zamków i ziem przełożonych; stosownie im do obowiązków zadając pytania, oświadczał Hamilonowi zadowolenie z dobrego zamków bronienia; witał Habdanka, pytał go o córkę, lub rozmawiał z Zawiszą o porażeniu Krzyżaków; w mowie jego postrzegano daleko obszerniejszą rzeczy wiadomość, a w obejściu się wielką powagę, której głębokie przytomnych książąt braci jego uszanowanie jeszcze więcej dodawało znaczenia.

Gdy się król cokolwiek w pytaniach ułatwił, zbliżył się do niego wojewoda Firlej, prosząc pokornie, aby mu pozwolił syna przypomnieć.

— Raczyłeś mnie, miłościwy panie! zapewnić — mówił starzec smutkiem przejęty — że za przybyciem naszem do Wilna syna tu mego zastanę; lecz jakże wielce przerażające dochodzą mnie wieści! Znaleziono o mil kilka stąd w lesie konia zabitego pod nim.

— Uchowaj Boże! — zawołał Jagiełło — waszmość nam najsmutniejszą donosisz nowinę.

— Uspokój się, miłościwy panie! — rzekł Hamilon — kazałem tę okoliczność natychmiast wyśledzić; prawda, koń padły należał do tego rycerza lecz to nie jest dowodem, żeby miał zginąć; owszem, po dobrem rozważeniu przygody przekonałem się, że lubo padł koń w pogoni, ten, co go dosiadał, zdrów wyszedł z przypadku.

— Że w tej potrzebie nie poniósł szwanku — odezwał się Habdank — ja mogę ręczyć. Wszebor, sługa jego, był u mnie zaraz i dał wiedzieć, że koń wysilony padł pod nim właśnie, gdy dosięgał komtura, unoszącego Pojatę; widział go potem zdrowego, podał mu konia z mej stajni, na którym młodzieniec dalej się puścił; lecz co się później z nim stało, nie mogłem wziąć sprawy, bo Wszebor nazajutrz pobiegł w ślady za panem i odtąd nie wrócił, lękać się tylko trzeba, żeby syn wasz nie wpadł w ręce Krzyżaków.

— Racz tedy, miłościwy panie — mówił wojewoda — wdać się za nim do mistrza; jeśli mój syn żyje, nie odmówi zapewne powrotu jego na tak poważne wstawienie się; pomnij, panie, że on jest jedynakiem u ojca.

— Żebyś waszmość miał i kilku takich synów — odpowiedział król — za każdegobym całość stał gorliwością ojcowską i nicbym nie szczędził, żebym ich najdłużej zachował; bądź zatem pewny, że wszystko czynić będę, abym go ojcu i sobie powrócił.

I dał natychmiast rozkazy wysłania z listem do Malborga gońca, przedstawiając mistrzowi wymianę Firleja, jeżeli został pojmany, za najznakomitszego z jeńców krzyżackich, znajdujących się w Litwie, jakiego tylko mistrz powrotu zażąda. Wybrany do tej posyłki rotmistrz Stogniew, dawny stronnik Ziemowita, niezwłocznie puścił się w drogę.

Wypocząwszy cokolwiek z trudów podróży Jagiełło, zwołał radę celem zastanowienia się nad sposobami zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej na Litwie. Pewność, że lud w największej części trzyma się jeszcze błędów pogańskich i gotów ich bronić do sił ostatnich, słuszne dawała powody obawy, ażeby złym wyborem środków nie chybiono celu; jedni utrzymywali, że naprzód należy zająć się oświeceniem ludu, zostawiwszy na miejscu pogańskie świątynie i bóstwa, które w miarę postępu światła i prawd chrześcijańskich, same z siebie upadną, gdy ten usposobionym zostanie do chrztu go przyjmować; królowa radziła posłać naprzód po Krywekrywejtę, starać się go pozyskać i wpływu jego użyć na naród, nadewszystko nikogo nie zmuszać i z największą łagodnością prowadzić dzieło; inni nakoniec tego byli zdania, żeby niezwłocznie do chrztu przystępować, a potem, gdy na parafie lud podzielonym zostanie, tłómaczyć mu artykuły wiary i obowiązki chrześcijanina wykładać.

Król, pragnąc jak najprędzej naród swój dawny z nowym jednością wiary połączyć, przychylił się do ostatniego zdania, a na danym przez panów przykładzie największą zasadzając nadzieję, kazał wspaniałe czynić przygotowania i wystąpiwszy z duchowieństwem na plac przedzamkowy, zgromadzony

W numerze następnym kończymy druk powieści „Krzyżacy na Litwie", która przez cały prawie rok tak bardzo zaciekawiała Czytelników. Zaraz potem zaczniemy drukować powieść równie wyborną pod tyt. „U stóp Zbawiciela".

lud do przyjmowania świętych tajemnic gorąco zagrzewał.

Patrzyły smutno stojące na uboczu gromady na tę nową rzeczy postawę, dziwiąc się jak gromy Perkuna nie rozpędzą bezbożnej zgrai; najpierwsi, co się głośno wyrzekli błędów pogańskich i do chrztu przyjęcia nietylko chęć, lecz wszelkie okazali usposobienie, byli to młodzi ofiarnicy świątyni Znicza, przyjaciele i zwolennicy Trojdana, na których czele Jawnut, pomny jego nauk, zrzuciwszy z siebie szatę sługi Znicza, w odzieży narodowej przystąpił do świętego obrzędu, a ile ta skwapliwość podobała się królowi i duchowieństwu, tyle gniewem przejęła zgorszone pospólstwo.

Tymczasem duchowieństwo pod przewodnictwem króla nie przestawało radzić o rozkrzewianiu wiary. Już się lud uspokoił znacznie, Lezdejko, najdzielniejsza jego podnieta, słabością złożony, nie był więcej w stanie wzniecać przeszkody, postanowiono zatem zniszczyć naprzód wszystko, co tylko mogło być wiary pogańskiej oznaką, ażeby tym sposobem dowieść ludowi jego urojeń znikomość.

Młodzież rycerska, duchowni, nowowiercy, wszyscy jedną chęcią zagrzani, rzucili się razem do wykonania dzieła. Naprzód tłum gorliwych, wpadłszy do świątyni, zagasił tlejący w niej ogień i ołtarz Znicza rozrzucił; ruszone z miejsc bóstwa, w kryjówkach gmachu zamieszkałe lat tyle, pod okrutnym toporem obracały się w drzazgi, niełaskawego z sobą obejścia się doznała rzesza bogów antokolskiej świątyni, leżały deptane nogą chrześcijańską rozrzucone członki bogów Olgierda i Gedymina. Pielęgnowane węże, poświęcone drzewa, szaty i obrzędowe naczynia, wszystko zniszczeniu uległo; co było głazem i kamieniem wleczono do Wilii, drewniane pamiątki ogień w popiół obracał, złoto tylko i srebro, w świętsze zmieniając się kształty, nie poszły w zatratę. Tak w przeciągu dni kilku znikło na zawsze wszystko, co przez tyle wieków było celem czci, trwogi i nadziei Litwy.

Ale nie można było ludu długo bez żadnej religii zostawić. Czuł tej niedokładności skutki Jagiełło i kazawszy otrąbić ukazanie się swoje, otoczony radą i duchowieństwem, dał się widzieć ludowi z ganku wieży i w następujące słowa do niego się odezwał:

— Dzieci moje, Litwini! jużeście się przekonali z milczenia i nieczułości bogów, których ręce nasze bez szkody w niwecz obróciły, że te czci waszej i bojaźni przedmioty nie były czem innem, tylko drewnem, kamieniem lub kruszcem, którym ciemnota ojców naszych nadała znaczenie, a przesąd wieków w prawo obrócił. Cieszcie się, żeście z błędu wyszli, ale cieszcie się i radujcie nierównie żywiej na zbliżenie się tej szczęśliwej chwili, w której macie poznać Boga, Stwórcę waszego, Pana nieba i ziemi. On to was, moje dzieci, wywiódł z niczego, On was rozumem, zdrowiem i majątkiem opatrzył i On wam daleko droższe gotuje dary, jeśli się szczerze nawrócicie do niego. Ale żeby dostąpić tej łaski, trzeba naprzód stosowne do tego wziąć przygotowanie; sprowadziłem z sobą z Polski kapłanów i nauczycieli, którzy was oświecać i nauczać będą. Nie lękajcie się ich, są to przyjaciele wasi, oni tylko mogą was pocieszyć i uspokoić, nie dosyć na tem, ja sam chcę być przewodnikiem odrodzenia ludu mojego, ja sam was wieść pragnę do szczęścia i chwały, a kto się ochrzci, bądź mężczyzna, bądź niewiasta, na znak oczyszczenia dostanie z rąk moich białą szatę i parę obuwia, nadto w każdej okoliczności z małżonką moją królową będę o nim pamiętał. Zaniechajcie więc próżnego oporu, niech błąd i nieufność, co was dotąd oddalały od serca mego, przepadną na wieki i niech odtąd Bóg jeden, Bóg przedwieczny i prawdziwy, będzie Bogiem Jagiełły i Litwy.

Szczęśliwy skutek wydała ta mowa. — Król z radą zszedłszy między tłumy, znalazł je powolniejsze swej chęci. »Niech żyje Jagiełło! niech żyje Jagwiga! chwała chrześcijanom!« — dawały się słyszeć gdzieniegdzie odgłosy. Wołania te, chociaż nie były skutkiem zapału, nie zostawiały jednak wątpliwości, że prawda nad błędem brać górę zaczyna. Pomału śmielsi Litwini, przystępować zaczęli do świętych obrządków.

Król z królową do chrztu ich trzymał i niezwłocznie kazał białą suknią i obuwiem obdarzać; krok pierwszy prawie najwięcej kosztował, następnie każda chwila mnożyła gromady białą odznaczone szatą.

W tem powszechnem umysłów zajęciu widziano nieszczęśliwego Lezdejkę, jak opuszczając spustoszoną świątynię, prowadzony przez starego kapłana, na którym się wspierał, słabym krokiem zmierzał do Kiernowa, aby tam pożądany znaleźć kres życia. Niósł on w ręku kilka bóstw mniejszych, które mu się udało od zniszczenia zachować. Widok jego niedoli zwrócił na siebie tkliwe spojrzenia Litwinów, powstał w zgromadzeniu szmer cichy; lecz nikt już nie biegł rzucać mu kwiatów na drogę, a ze zniknieniem przedmiotu, przerwaną została ostatnia nić węzła, który niegdyś tak potężnie cały z nim naród połączył. Królowa, litując się jego starości, posłała za nim swój pojazd, lecz on jej względu nie przyjął.

Powrócił też już i Stogniew z Malborga, lecz nie bardzo pocieszające przywiózł dla Firleja nowiny. Mistrz w odpowiedzi królowi dawał mu poznać zagniewanie swoje, dziwiąc się mocno, że go obchodzi los jednego zuchwalca, który śmiał przeniknąć do jego twierdzy i uwiózł z niej skazaną na śmierć pogankę.

(Dokończenie nastąpi).



Do Ojczyzny!

Powstań Ojczyzno z kurchanu,
Powstań już!
I poleć swoje bole Panu,
Bo On twój Stróż.

Zrzuć z siebie krwią zbryzganą
Koronę burz...
A Duchy polskie z tobą staną —
Ty pęta skrusz!

Bo one zmyją z krwi twą skroń,
Laur nań włożą,
Pęta pochwycą w swoją dłoń
I Wolność stworzą...

Zadzwoni dzwon wolności wszędzie,
Zaśpiewa lud:
Że Polska wolną jest i będzie
Przez pracę, trud.

Robert Rydz.

Księżyc i jego zaćmienie.

W nocy z 16 na 17 listopada b. r. będzie całkowite zaćmienie księżyca. Ponieważ według obliczeń uczonych ma ono być widzialne w całej Europie, a więc, gdy tylko pogoda posłuży, będziemy się mogli dokładnie przypatrzyć temu zjawisku.

Przebieg zaćmienia ma być następujący: Po godzinie pół do dziewiątej wieczór dnia 16 b. m. księżyc wejdzie w półcień, co będzie wyglądało, jakby część jego mała chmurka zakryła. O godzinie pół do jedenastej znajdzie się księżyc cały w cieniu, a dopiero o godzinie trzy na dwunastą nastąpi całkowite zaćmienie, które będzie trwać aż do pół do pierwszej. O tym czasie księżyc pocznie wychodzić z cienia: najpierw pokaże się go brzeg jeden, który coraz bardziej będzie się powiększał, aż o trzy kwadranse na trzecią zajaśnieje znów w całym blasku.

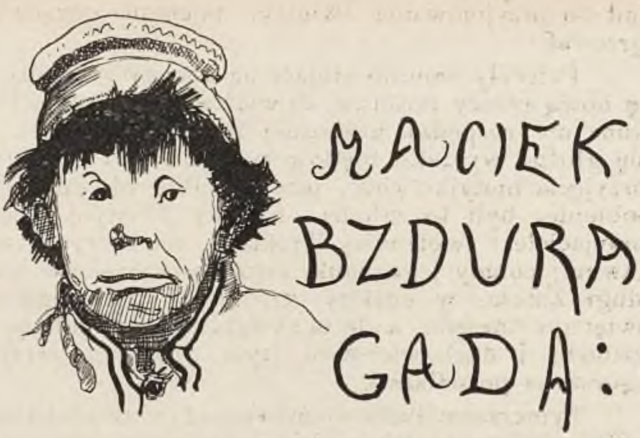
Gdyby tej nocy niebo było pokryte chmurami, to oczywiście tego wszystkiego nie możnaby widzieć, ale mimo to dałoby ono się odczuć, gdyż w czasie całkowitego zaćmienia, t. j. od trzy kwadranse na dwunastą aż do pół do pierwszej, byłoby tak ciemno, jak w czasie nowiu.

Księżyc to nic innego, tylko takie samo ciało niebieskie, jak ziemia, tylko 50 razy od niej mniejsze. Na oko księżyc nie wydaje się wiele większy, a czasem i mniejszy, jak bochenek chleba za 10 ct., a to dlatego, gdyż odległość jego od ziemi wynosi 380 tysięcy kilometrów, czyli przeszło 50 tysięcy mil. Nie dziw więc, że z takiej odległości wydaje się niewielki. Wprawdzie jest on znacznie mniejszy niż gwiazdy, lecz mimo to wydaje się większy, a to z tego powodu, że gwiazdy są setki tysięcy mil dalej.

Sam księżyc nie posiada żadnego światła, gdyż skład jego jest taki sam, jak skład ziemi, posiada góry i doliny, a nawet ślady dawnych mórz i rzek. A mimo to świeci!... Tak, świeci, ale nie własnem światłem, lecz pożyczanem od słońca. Dzieje się to w ten sam sposób, jak z lustrem: lustro samo nie świeci, ale, gdy padną na niego promienie słońca i odbiją się w nim, to z lustra padają promienie światła, jakby samo świeciło.

Ponieważ księżyc ma kształt kuli, przeto słońce oświeca zawsze jego połowę. Mimo to, my raz widzimy oświetloną całą tarczę księżyca, drugi raz tylko część, a kiedyindziej nic nie widzimy. Zależy to wszystko od położenia księżyca, ziemi i słońca względem siebie w danym czasie. Jeżeli ziemia znajduje się w pośrodku pomiędzy słońcem a księżycem, więc strona księżyca oświecona przez słońce jest cała widziana z ziemi; wtedy mówimy, że jest pełnia. Jeżeli księżyc, słońce i ziemię połączylibyśmy w myśli liniami, a te utworzyłyby trójkąt, wtedy widzielibyśmy tylko połowę księżyca oświetloną przez słońce. Gdy słońce i księżyc znajdą się po jednej stronie ziemi, wtedy połowa księżyca oświecona przez słońce jest odwrócona od ziemi, więc jej nie widzimy, bo ku nam jest zwrócona ciemna strona.

Całą część księżyca, oświeconą przez słońce, widzimy więc tylko wtedy, gdy jest pełnia, a więc, gdy słońce jest z jednej strony ziemi, a księżyc z drugiej. Gdybyśmy wtedy pociągnęli w myśli linię prostą od słońca do księżyca, tobyśmy w pobliżu niej, ale nie na niej, znaleźli ziemię. Gdy jednak ziemia stanie w prostej linii pomiędzy słońcem a księżycem, wtedy zatrzymuje promienie słońca na sobie, nie dopuszczając ich na księżyc. Wskutek tego tarcza jego nieoświecona przez promienie słońca, nie może ich odbijać, więc pozostaje ciemnia i wtedy właśnie jest zaćmienienie księżyca. Dlatego też zaćmienie księżyca może być tylko podczas pełni.



Juści, co ładne to ładne to święto Zaduski, bo niby ci to dzień robotny a przecie gospodyni rano padają:

— Maciek, ty zeniacu, a posedbyś się za niebosckę matsię na cmentarz pomodlić.

Ja w dzień robotny, to okrutecnie modlić się lubie, choć co prawda tom się dopiro we Wszyćkich świętych modlił, a tu gosposia zaraz nazajutrz znowu se kazą pysk psuć. Ale posedem chętnie, bo we Wszyćkich świętych tom się ta i wiele nie namodlił. Choć, co prawda, to ja ta temu nie winien, ino ludzie a właśnie po większości baby.

Padali jegomość, ze za umarłych trza się modlić, bo jak są w cyścu, to ich prędzej Poniezus do nieba weźmie. Ale ja se tak myśle, ze jak się modlić, to się modlić, to trza fest poplućręce i walić się w piersi, nadąć gębę a wzdychać i prosić Pana Boga.

A tu jagem we Wszyćkich świętych był na cmentarzu, tom widział dokumentnie, jak Łukasowa, co to zesłej zimy chłopa pochowała, powtykała w grób jego styry świcki wzięte na bórg u zyda i, zamiast pacierz mówić, obzirała się na wszyćkie strony, cy ją ludzie widzą, jak ona to chłopa załuje.

Abo gdowa Walkowa! Siadła nad grobem niebоscyka Walka i chlipała i chlipała, choć ocy suche były. Myślołby kto, ze ona tak chłopa załuje, a on przecie przez nią ze świata posed, bo go gryzła i gryzła, az zagryzła.

Ale to nic jesce baby, choć i te po większości nie na modlenie się przysły, ale gorse były dzieuchy. Cy to Kaśka, cy Maryna, nibyto klęcały na grobie tatusia, abo matusi, abo tez nieboscyka łujka, ręcami gęby pozakrywały a przez palice patrzały, to na Stacha, to na Walka, cy oni ich widzą, jakie one som niescęśliwe.

Na smentarzu, ze to jesce jakosi nie wypada, to choć udawały, ze płacą, ale jak wysły z smentarza, to »hulaj dusa!«... Śmiski, zarty i różne figle, a to przecie jest niefadnie, tam inacy a tu znowu inacy.

Jagmy wracali juz z smentarza, to pytam się wójtowy:

— Pani matko, a za kiem wyście byli na smentarzu?

— Widzis go — odrzeką wójtowa — jaki to ciekawy!... a za kiemby, jak nie za strykiem.

— Oj toście musieli dziadkom moc pieniędzów dać — padam.

— A juści, jesce cego! Na światło dałam styry szóstki, na wypominki dwie szóstki, to jesce mam dziadom dawać?

— A wiele tez grzychów Pan Bóg daruje strykowi za te świcki od Mośka — pytam, ale mi wójtowa nie pedzieli nic, ino: »Głupiś«...

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

37.

Po śmierci Augusta III pod naporem Rosyi obrano królem Stanisława Poniatowskiego, ulubieńca carowej rosyjskiej Katarzyny. We dwa tygodnie po wyborze król w kościele św. Jana w Warszawie zawołał na cały głos:

— Boże, Ty widzisz skrytość serca mego, Ty wiesz, że dotrzymam narodowi przysięgi!

Ale król nie wyrzekł tych słów z serca, ale tylko na to, aby się popisać przed narodem swoimi słowami. Uczynił to tak, jak i teraz wielu czyni, którzy na zgromadzeniach mają piękne dla nas słówka, miliony obiecanek a w duchu śmieją się z naszej łatwowierności.

Zdawało się, że młody król, (liczył 32 lat życia), zaprowadzi dobry porządek w kraju, lecz niestety, stało się inaczej. W Warszawie mieszkał stale poseł moskiewski Repnin, który ciągle mówił królowi, co ma robić, a gdy go ten nie chciał usłuchać, groził mu utratą korony, którą z łaski carowej otrzymał. bojaźliwy król zgadzał się na wszystko, za co naród coraz bardziej go nienawidził.

Polacy, widząc, że niedobrze dzieje się, wskutek takiego mieszania się Moskali w sprawy polskie, zawiązali Konfederacyę w mieście Barze, której celem było dźwignięcie Polski z upadku. Dowiedziawszy się o tem król Stanisław w Warszawie, przestraszył się bardzo, ale nie puścił Moskali lecz dalej szedł z nimi na zgubę własną i zatracenie coraz biedniejszego kraju.

Pomimo że Konfederaci byli bohaterami, pomimo że nadstawiali pierś własną na kule i bagnety moskiewskie bez najmniejszego strachu, musieli wreszcie uledz przemocy. Wtedy trzy sąsiednie mocarstwa: Rosya, Prusy i Austrya zabrały po kawałku Polski. Było to w 1772 r.

Po tak wielkiej klęsce wnet Polacy zaczęli przychodzić do siebie. Zwołali Sejm, na którym radzili przez 4 lata i uchwalili wiekopomną konstytucyę, ogłoszoną 3 maja 1791 r., którą i król Stanisław zaprzysiągł.



Stanisław Poniatowski zaprzysięga konstytucyę 3 maja 1791 r.

„Koncert ruski" w Sejmie.

Pisząc o Sejmie z ubiegłego tygodnia, zająć się trzeba głównie jednem posiedzeniem, we czwartek dnia 3 listopada. Dawniejsze hałasy ruskie, o których pisaliśmy przed dwoma tygodniami, były tylko jakby próbą. Wyćwiczywszy się wtedy, wystąpili z obstrukcyą hałaśliwą poraz drugi, tym razem na większe rozmiary. Warto poznać dokładniej, jak to kilkunastu posłów rusko-ukraińskich przeszkadza w Sejmie poważnym pracom i jak niegodziwie drażni posłów polskich. Przewodzi im pos. Lewicki, jako prezes klubu ukraińskiego i on wygłaszał wszelkie »zajawy« i protesty; ale mechaniczną kierował pos. Petruszewicz. Uzbrojony był w syrenę, rodzaj świstawki, która wydaje przenikliwy, jęczący głos, podobny do głosu czajki, szukającej żeru na ściernisku. Lewicki i Kurowiec mieli zwykłe gwizdawki, podobnie Dumka i Sodomora. Trąbki mieli obaj Staruchowie i Sandulak. Makuch gwizdał na gwizdawce policyjnej, a Skwarko na gwizdawce, jakiej używają konduktorowie kolejowi. Skwarko miał nadto olbrzymią trajkotkę, podobną do tej, jaką po wsiach w Wielki Piątek nawołują na nabożeństwo. Pos. Kiweluk nie miał żadnego narzędzia.

Na dany gwizdawką sygnał, dziesięciu posłów ukraińskich zawyło odrazu na swych narzędziach. Przeraźliwe tony przedarły powietrze. Zaraz wpadł w nie trzask pulpitów; posłowie ukraińscy jedną ręką trzymali swoje instrumenty przy ustach, drugą podnosili pulpity i uderzali niemi z trzaskiem. Na zegarze dochodziła godzina 1 z południa, gdy rozpoczął się ten koncert ukraiński.

Tymczasem na trybunie stał sprawozdawca, odczytywał wnioski komisyjne, posłowie zabierali głos i rozwijała się zupełnie normalna dyskusya sejmowa. Posłowie polscy z marszałkiem na czele, postanowili bowiem przetrzymać te wrzaski i nie przerywać obrad.

Posłowie staroruscy zajęli stanowisko połowiczne. Oświadczyli oni już na poprzednich posiedzeniach, że popierać będą usiłowania Ukraińców, aby nie dopuścić do obrad sejmowych. Nie przyłączyli się wprawdzie do mechanicznej obstrukcyi, ale próbowali ją posiłkować rozwlekłemi mowami. Musieli jednak dać za to na ofiarę, jeżeli nie swoje osoby, to swoje uszy. Gdy zabrał głos pos. Dudykiewicz, szybkim ruchem wężowym przesunął się poza jego plecy Petruszewicz i niemal do ucha przygrywał mu na swojej jęczącej syrenie. Potem przyszedł Staruch jeden i drugi i już to przygrywali Dudykiewiczowi, już to wrzeszczeli mu wprost w twarz rozmaite wykrzykniki. Dudykiewicz udawał, że tych wszystkich wrzasków nie słyszy; stał wyprostowany i mówił

i mówił. Przyszedł Skwarko i zagwizdał mu do ucha, przyszedł Makuch i także mu gwizdnął, a Dudykiewicz mówił. Inni Ukraińcy nieprzerwanie grali, krzyczeli, trzaskali pulpitami. Tymoteusz Staruch, który powrócił był na swoje miejsce, wyrwał nakrywkę pultu i teraz wyrwaną deską tłukł w swój pult, jakby rąbał drzewo.

Posłowie polscy i publiczność na galeryach zwolna oswoiła się z wrzaskiem, lecz równocześnie obrzydzenie u wszystkich rosło.

Naraz Sandulak głosem hucuła, pasącego owce na połoninach zawiódł »Czerwony sztandar« po ukraińsku, a wnet zawtórował mu Staruch, aż sklepienie sali echem odbiło. Chwilami przycichły wrzaski zmęczonych już Ukraińców i wówczas ponad nie wybijał się głos Dudykiewicza. Mówił on prawie trzy kwadranse i wreszcie skończył.

W tej chwili padła wojskowa komenda Starucha: *Feuer einstellen!* I natychmiast zrobiło się cicho.

Zabrał głos pos. Stapiński. Lecz już po trzeciem jego zdaniu, Ukraińcy podnieśli krzyk i poczęli dąć w swoje instrumenty. Szaleli, jakby się lulkiem upili. Wydawali ze siebie naprawdę nieludzkie głosy; Staruch ryczał, a Makuch, cały czerwony, ze śliną toczącą się z ust, to z dziką furyą bił w pult, to się zrywał, podnosił pięście i rzucał groźbami.

Izba przy tym dzikim akompaniamencie, załatwiała dalej punkt po punkcie z porządku dziennego.

Ukraińcy zaś ciągle grali, trzaskali pultami, wyli, chwilami śpiewali. Na parę minut cichli, gdy prezes ruski Lewicki jakiś protest zakładał. Chwilami znów wyczerpywali się i wówczas ich wrzaski przygasały, ale tylko po to, aby zaraz z tem większą furyą się podnieść. Z loży dziennikarskiej, zajętej przez sprawozdawców pism ruskich, podawano im wodę sodową i cukierki.

Tak mijała godzina za godziną.

Izba załatwiała coraz dalsze punkty porządku dziennego. Na twarzach Ukraińców znać już było zmęczenie. Chwilami jednak, jakby czemś dźgnięci, wpadali aż w szał. Staruch nie wiedząc jak i co ma czynić, zdarł ze swego fotelu poduszkę i cisnął ją na środek sali. Makuch co chwila wznosił zaciśniętą pięść do góry. Znów Sandulak i kilku innych zaintonowało ruski »Czerwony Sztandar«.

O godzinie 4 zapalono lampy elektryczne. Lecz Ukraińcy byli już pomęczeni, siedzieli już na miejscach i prawie automatycznie grali i bili w pulty. Tylko Staruch i Makuch zdawali się być niewyczerpani. Głos Starucha wpadał czasem we wrzawę jak strzał. Makuch zaś, nie mogąc już dać w gwizdawkę, gdyż ślina go zalewała, łomotał prawą ręką swój pult, a lewą w pult Kiweluka; czynił to jakby mechanicznie i był podobny do konia piaskarskiego, nachylającego się po każdym kroku, to na tę, to na tamtą stronę.

Nareszcie o godzinie 5 z wieczora porządek dzienny został wyczerpany. Marszałek ogłosił zamknięcie posiedzenia. Posłowie ukraińscy zaintonowali raz jeszcze »Czerwony Sztandar« i na tem zakończył się »koncert ukraiński«.

Po co ci dzicy ludzie urządzili tę burdę? Powiadają, że po to, aby przed całym światem ogłosić, że Polacy chcą ich pokrzywdzić przy reformie wyborczej. Ale tak powiadają tylko. W gruncie rzeczy chcą oni wogóle przeszkodzić reformie wyborczej, bo zdaje im się, że przy dzisiejszej ustawie, pod wpływem gwałtów i teroryzmu przy wyborach, uda im się zdobyć więcej mandatów. Na każdym kroku posłów ruskich kłamstwo i obłuda. A biedny lud ruski wierzy im i idzie na lep ich obiecanek. Ale przyjdzie czas, gdy lud ruski nabierze rozumu i pozbędzie się takich posłów, a poszuka innych, poczciwszych.

Posłowie polscy bohatersko przetrzymali obstrukcyę i przekonali Rusinów, że nie dadzą sobie przeszkodzić w spełnieniu obowiązku poselskiego. To też zaraz na trzeci dzień po obstrukcyi, w sobotę, Rusini objawili nagle chęć do zgody i poprosili o odroczenie sobotniego posiedzenia, aby się porozumieć z Polakami.

Rychło okazało się jednak, że był to tylko nowy podstęp ruski, ta nibyto chęć do zgody. Przez dwa dni trwały obrady stronnictw, a posiedzenia Sejmu się nie odbywały. Oto tylko chodziło Rusinom, aby dwa dni sesyi sejmowej poszły na marne, gdyż na posiedzeniu poniedziałkowem ich prezes oznajmił, że Polacy nie okazali chęci do zgody przez te dwa dni, zatem obstrukcya ruska zaczyna się na nowo.

Zaraz po tych słowach wszczęły się znowu piekielne hałasy, zwane »koncertem ruskim«. Trwały całe sześć godzin, aż do końca posiedzenia, a tymczasem Sejm obradował do końca, marszałek siedział na swem miejscu, przemawiał pos. Piniński, a potem poseł ks. Stojałowski przez pięć godzin, który z poświęceniem zagadywał wrzaski ukraińskie. W ten sposób posłowie polscy mają silną wolę obradować dalej i doprowadzić przynajmiej do uchwalenia budżetu krajowego. Na reformę wyborczą, z winy Rusinów, nie będzie już czasu.

Ostrzeżenie.

(Wiersz poświęcony Maćkowi Bzdurze).

Bardzo pięknie, bardzo ładnie,
Gdy wlazł Maciek do gazety;
Z polityki słówko padnie,
Lecz na baby, to już... rety!

Wyśmiewa je, że aż strasznie,
Że, gdy która to przeczyta,
Z pasyi aż rękami trzaśnie
I za głowę się uchwyta...

Więc po kraju baby, wdowy,
Z niemi razem i dziewuchy,
Nuże w rady, nuże w zmowy...
A to wszystkie same zuchy.

Umyśliły figla zrobić,
Odpłacić za krzywdy one,
Maćka w rogi przyozdobić...
A czy znajdzie wtedy żonę?

Bo gdy pójdzie gdzie w zaloty,
Przystrojony w takie rogi,
Każda pozna jego wzloty
I dalej od niego w nogi.

I z pewnością by mu przyszło
Tak do śmierci pokutować,
Lecz nim to z ust kobiet wyszło,
Chłopi wiedzą, więc trza psować.

Więc, jak zwykle, chłop za chłopem,
Wszyscy razem uradzili:
Trza Maćkowi dać znać o tem,
Nim co złego by zrobili.

Strzeż się Maćku przyszłej żony,
A tak miej się na baczności,
Aby kiedyś też od onej
Nie trzeszczały twoje kości.

Franciszek Markiewicz.

NĘDZARZ.

W wielkich miastach obok najwyszukańszego przepychu i zbytku, panuje nieraz taka nędza o jakiej mieszkańcy cichych i spokojnych wiosek nie mają ani pojęcia. Na wsi bowiem, gdy kogo spotka jakiś wypadek, jakieś nieszczęście, w tej chwili sąsiedzi dowiadują się o tem i spieszą nieszczęśliwemu corychlej z pomocą. W mieście zaś inaczej: smutniej i gorzej... O ile na wsi od jakiegoś nadzwyczajnego i smutnego wypadku upływają nieraz dni i miesiące do drugiego nieszczęścia, o tyle w wielkiem mieście niema nietylko dnia, ale prawie godziny, aby w kogoś grom większego nieszczęścia nie uderzył.

Ale tam zaledwie jeden i drugi dowie się o tem, a do reszty głos rozpaczy nie doleci. Jeżeli wiadomość natrafi na człowieka posiadającego litościwe serce, to ten pomoże biednemu i wesprze go. Lecz często głos rozpaczy zostaje nieusłyszany, a nieszczęśliwy schorowany i wyczerpany o własnych siłach nie może się podźwignąć. Gdy nieszczęście raz kogo przywali, a niema mu kto podać pomocnej ręki, to ono gniecie go coraz bardziej, póki nie zgryzie zupełnie.

Na obrazku naszym, narysowanym przez pewnego sławnego malarza niemieckiego, widzimy takiego nędzarza, konającego na lichym barłogu, przy schodach jakiejś wielkiej budowli, w której może w tej chwili odbywały się uczty i pląsy. Nieszczęśliwy ten trzyma książkę w ręku, która w życiu była mu może jedynym przyjacielem i towarzyszem; jedyną ucieczką w jego ciężkich strapieniach i smutkach. A tuż obok niego długoletni towarzysz i przyjaciel jego życia i jego niedoli: jego wierny pies. Ludzie nieszczęśliwego opuścili i pozwolili mu ginąć w zaułku, a tylko nierozumne zwierzę pozostało przy nim i ból swój wyraża wyciem, gdyż mówić nie umie. Gdyby ten pies przemówić zdołał, to zapewne powiedziałby ludziom, że zamiast serc mają w piersi kamienie, jeżeli się nad nędzą litować nie potrafią.

I choć pan jego wydał ostatnie tchnienie, jak to można sądzić z zamkniętych powiek i obwisłej głowy, to jednak pies nie odstępuje swego chlebodawcy, ale czuwa przy nim z dawnego przywiązania. I mimowoli nasuwa się pytanie: Ileż ludzi znalazłoby się takich, aby pozostali bezinteresownie przy zwłokach człowieka umierającego w nędzy i zapomnieniu, a który nie był ani ich krewnym, ani powinowatym? O, rzeczywiście nieraz bezrozumne zwierzę lepsze niż człowiek, który w szczęściu i dobrobycie łasić się i nadskakiwać potrafi i przyjacielem się zowie, ale gdy spadnie na bliźniego już nie nieszczęście, lecz często najmniejsze jakie niepowodzenie, opuszcza go zwykle, a czasem jeszcze go bardziej



w nie wtrąca, przez co gorszym się staje niż bezrozumne zwierzę.

Wiele mamy przykładów ogromnej miłości zwierząt do swoich panów. Ileż to razy można słyszeć, że pies pada na grobie swego chlebodawcy, nie chcąc przyjmować pokarmów? Często zdarza się słyszeć o takim samym losie koni, szczególniej koni wierzchowych.

Piękne wzory do naśladowania dają nam czasem ludziom bezrozumne zwierzęta, a nam tylko naśladować je wypada.

Przy łożu nędzarza.

W tych dniach wyszła prześliczna książka Najprzewielebniejszego Księdza biskupa lwowskiego Bandurskiego o królowej Jadwidze. Z pięknej książki pozwalamy sobie przedrukować jedną legendę.

Jednego razu zwiedzała Jadwiga w Bieczu kościół przez siebie założony.

Przy kościele tym był także szpital przez zacną i miłosierną królowę ufundowany i wyposażony tak, ażeby każdemu potrzebującemu pomocy stał otworem.

Przechodziła wtedy Jadwiga z sali do sali. Do każdego chorego jakiemś uprzejmem i życzliwem słowem się odezwała, każdemu serce ufnością w miłosierdzie Boże pocieszyła i wzmocniła.

Aż przychodzi do jednej z ostatnich sal, gdzie leżeli najciężej chorzy i najnieszczęśliwsi. Jednym jękiem były westchnienia tych biednych chorych i kalek.

Każda twarz chorego wzbudzała lęk i grozę tym wyrazem beznadziejnej rozpaczy i tego bólu, widnego w każdym rysie i w każdem tchnieniu.

Lecz między najnieszczęśliwszymi oto, na ostatnim łóżku, pod ścianą, leżał jakiś nędzarz okryty ranami, krwią obryzgany, z zamkniętemi oczyma.

Łachmany wstrętne okrywały jego ciało, z ran ropiących się wydobywała się wstrętna cuchnąca woń, tak, iż dozorcy szpitala omijali go i pozostawiali bez opieki, bo nie mogli przełamać wstrętu i zbliżyć się do niego.

Jadwiga zatrzymała się skoro ujrzała nędzarza.

— Dlaczego pozostawiono go bez opieki?

— Miłościwa Pani! — tłumaczy się dozorca — niepodobna zbliżyć się do niego, cuchnie bardzo i tak jest wstrętny, iż w omdlenie wpadają ci, którzy chcą mu dopomódz.

Jadwiga lekko zachmurzyła czoło, zawinęła rękawy królewskiej swej szaty i rzecze:

— Dajcie wody i maście gojące!

Ze zdumieniem patrzą wszyscy obecni, a królowa rany nędzarza obmywa, maścią smaruje i czystem obwiązuje płótnem.

Ani znać jednego rysu niechęci lub wstrętu, ani znać, jakoby to jej przykro przychodziło wykonać, a jednak nawet ci, co zdaleka patrzeli na rany żebraka, omdlewali ze wstrętu i przykrego widoku. Chorzy dźwigali się na posłaniach, aby przypatrywać się tej pełnej poświęcenia pracy.

I dziwo wszystkich ogarnia.

I oczy sobie przecierają, nie wiedząc, czy to prawda, co widzą, czy to majaczenie, czy to złuda, czy istny cud, bo oto nędzarza ciało nabiera jakiejś niezwykłej jasności, staje się piękne i zdrowe, a oblicze jego wypogadza się nagle.

Spostrzegła to i królowa Jadwiga. Zdumiona niespodziewanem zjawiskiem, pochyla się nad nędzarzem i pyta:

— Kto ty jesteś, biedny człowieku?

Lecz nędzarz milczy.

Oblicze jego staje się piękne niezwykłym urokiem, usta uśmiechają się lekko.

Jadwiga raz jeszcze pyta z lękiem:

— Kto ty jesteś? Jak się zowiesz?

A chory znika w jednej chwili.

Na pościeli zostały tylko płótna owe, któremi Jadwiga obwięzywała rany jego.

Uklękła przy łożu królowa i długo łzami zalana modliła się Panu.

Łóżko to odtąd było przechowywane w szpitalu w Bieczu jako pamiątkowe i nigdy żaden chory na niem nie leżał.

Tak w drodze poświęceń i ofiar Jadwigi wschodziły błyski cudownych objawień i zdarzeń!

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

BRAK POWIETRZA.

Tak więc dokoła »Nautilusa«, z wierzchu, pod spodem, nieprzebyta ściana lodu. Byliśmy więźniami lodowiska. Kanadyjczyk uderzył w stół swoją olbrzymią pięścią. Konsel milczał, ja patrzyłem na kapitana. Oblicze jego przybrało wyraz zwykłej obojętności. Skrzyżował ręce na piersiach, rozmyślał, »Nautilus« już się nie ruszył. Wówczas kapitan przemówił.

— Panowie — rzekł spokojnym głosem, w takich warunkach, jak jesteśmy, dwa są sposoby umierania. Pierwszym, mówił dalej — jest umrzeć zmiażdżonym; drugim — umrzeć z uduszenia. Nie wspominam o możliwości śmierci z głodu, bo zapasy »Nautilusa« przetrwają nas zapewne.

— Co do uduszenia, kapitanie — odparłem — nie potrzebujemy się go obawiać; bo nasze rezerwoary są pełne.

— Prawda — rzekł kapitan Nemo — ale nie dadzą nam więcej jak na dwa dni powietrza. Za czterdzieści osiem godzin nasz zapas zupełnie się wyczerpie.

— A zatem kapitanie, wyswobodźmy się przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

— Spróbujemy przynajmniej, przebijając otaczającą nas ścianę.

— Czy można odsunąć osłony okien?

— Bezpiecznie; wszak już nie płyniemy.

Kapitan Nemo wyszedł. Wkrótce rozległ się świst, »Nautilus« opuszczał się powoli i osiad na lodzie w głębokości trzystu piędziesięciu metrów.

— Moi przyjaciele — rzekłem — położenie nasze jest niebezpieczne, ale liczę na waszą odwagę i energię.

— Panie — odparł Kanadyjczyk — nie pora to, żebym miał pana nudzić mojemi skargami. Gotów jestem zrobić wszystko dla wspólnego ocalenia. Jestem równie wprawny do oskarda jak do oszczepu; jeżeli mogę się na co przydać kapitanowi Nemo, to niechaj mną rozporządza do woli.

— Nie odrzuci zapewne twej pomocy. Chodź Nedzie.

Zaprowadziłem Kanadyjczyka do pokoju, w którym majtkowie »Nautilusa« przywdziewali przybory nurkowe. Oznajmiłem kapitanowi propozycyę Neda i została przyjętą.

Gdy Ned-Land był już ubrany, wróciłem do salonu i, stanąwszy obok Konsela, przypatrywałem się dokoła przez odsłonięte szyby pokładom, na których spoczywał »Nautilus«. Po kilku minutach ujrzeliśmy tuzin majtków, wychodzących na lodową ławicę, a pośród nich Ned-Landa, odznaczającego się swym wysokim wzrostem. Kapitan Nemo był z nimi.

Zabrano się natychmiast do roboty, prowadząc ją z niewysłowionym zapałem i wytrwałością. Zamiast wyrąbywać lód dokoła »Nautilusa«, coby nie małą przedstawiało trudność, kapitan Nemo kazał w odległości ośmiu metrów od lewego boku zakreślić ogromny dół; poczem zaczęto świdrować jednocześnie w kilku punktach jego obwodu. Niezadługo oskard ugodził dzielnie w tę zbitą masę i grube kawały lodu oderwane zostały od całej bryły.

Po dwóch godzinach energicznej pracy, Ned-Land powrócił zmęczony. On i jego towarzysze zastąpieni zostali przez świeżych robotników, do których przyłączyłem się teraz z Konselem. Kierunek nad nami objął porucznik »Nautilusa«. Kiedym powrócił po dwugodzinnej pracy, żeby się nieco posilić i odpocząć, znalazłem znaczną różnicę pomiędzy czy-

stem powietrzem, dostarczonem mi przez przyrząd na plecach, a atmosferą »Nautilusa«. Powietrze nie było odświeżane od czterdziestu ośmiu godzin i odżywcze jego własności bardzo osłabły. A jednak w przeciągu dwunastu godzin, wyrąbaliśmy dopiero na zarysowanej przestrzeni warstwę lodu, grubości jednego metra. Przypuszczając, że tyleż zrobimy co każde dwanaście godzin, potrzeba było jeszcze pięciu nocy i czterech dni na dokonanie tego przedsięwzięcia

— Pięć nocy i cztery dni! — rzekłem do moich towarzyszy; — mamy już tylko na dwa dni powietrza w rezerwoarach. Czy brak powietrza nie udusi nas wprzód jeszcze, nim »Nautilus« zdoła wypłynąć na wierzch fali? Czy przeznaczono mu zginąć w tym grobie lodowym wraz z wszystkim, co w sobie zawiera? Położenie jest straszne. Patrzmy jednak śmiało mu w oczy i wszyscy postanówmy do ostatka spełniać swoją powinność!

Jak przewidziałem, nowa warstwa grubości jednego metra, wyciętą została przez noc w ogromnem korycie. Ale zrana, przebiegając w przyrządzie nurkowym wśród płynnego żywiołu, spostrzegłem, iż boczne ściany powoli się ku sobie zbliżały. Warstwy wody oddalone od rowu, nie ogrzewane pracą ludzi ani działaniem narzędzi, okazały widoczną dążność do zakrzepnięcia. Wobec tego nowego, a strasznego niebezpieczeństwa, czymże się stawały nasze usiłowania ratunku? Jakim sposobem przeszkodzić stężeniu tego płynu, któreby strzaskało jak szklankę, ściany »Nautilusa«.

Nie wspomniałem nic o tem mym towarzyszom. Na cóż bowiem zdałoby się odbierać im energię, z jaką prowadzili uciążliwą pracę ocalenia! Ale wróciwszy na statek, ostrzegłem kapitana Nemo o tym ważnem powikłaniu.



... Leżałem rozciągnięty bez sił.

— Wiem — odrzekł mi owym spokojnym tonem, którego nie mogły zakłócić najgroźniejsze okoliczności. Jest to jedno więcej niebezpieczeństwo, ale nie widzę żadnego sposobu, by mu zapobiedz. Jedynym środkiem ratunku jest działać szybciej niż zamarzanie. Trzeba je wyprzedzić. Oto wszytko.

Do wieczora rów pogłębił się znowu o jeden metr. Wróciwszy na statek, o mało nie zostałem uduszony gazem węglanym, przesycającym powietrze. Tegoż wieczoru kapitan Nemo musiał otworzyć rurki rezerwoaru i wpuścić do »Nautilusa« parę strumieni świeżego powietrza. Bez tej przezorności, nie bylibyśmy się już zbudzili.

Nazajutrz 26-go marca wziąłem się do roboty górniczej, zaczynając piąty metr. Ściany boczne i spodnia powierzchnia lodowiska, widocznie grubiały. Oczywistą było rzeczą, że zejdą się zanim »Nautilus« zdoła się wyswobodzić. Na chwilę owładnęła mną rozpacz. Oskard o mało nie wypadł mi z ręki. Na co się zdało rąbać, skorom miał zginąć zduszony, zmiażdżony przez tę wodę, co się stawała kamieniem; skoro mnie czekały męczarnie, jakichby okrucieństwo dzikich nie potrafiło nawet wymyśleć! Zdawało mi się, żem się znajdował pomiędzy dwiema szczękami straszliwej paszczy potworu, które się nieodparcie przymykały.

W tej chwili kapitan Nemo, kierujący robotą i pracujący razem z innymi, przeszedł koło mnie. Trąciłem go zlekka i wskazałem ściany naszego więzienia. Ściana z prawego boku zbliżyła się przynajmniej o cztery metry do pudła »Nautilusa«.

Kapitan zrozumiał mnie i dał mi znak, bym za nim poszedł. Wróciliśmy na statek. Zdjąwszy mój przyrząd nurkowy, udałem się do salonu.

— Panie Aronnax — powiedział — trzeba się chwycić jakiego nadzwyczajnego środka, albo zostaniemy zamurowani w tej wodzie, tężejącej jak cement.

— Tak — rzekłem — ale co począć?

Tymczasem kapitan Nemo milczący, nieruchomy — rozmyślał. Widocznie myśl jakaś cisnęła mu się do głowy. Ale zdawał się ją odpychać; odpowiadał sam sobie przecząco. Nareszcie wybiegły mu z ust te dwa wyrazy:

— Woda wrząca.

— Woda wrząca! — zawołałem.

— Tak, panie. Jesteśmy zamknięci w dość ciasnej względnie przestrzeni. Czyby strumienie wrzącej wody, wyrzucane ciągle z pomp »Nautilusa«, nie podniosły temperatury tej przestrzeni i nie opóźniły zamarznięcia?

— Trzeba spróbować — rzekłem stanowczo.

— Spróbujmy, panie profesorze.

Termometr wskazywał wówczas zewnątrz statku siedm stopni zimna. Kapitan Nemo zaprowadził mnie do kuchen, gdzie działały obszerne przyrządy, dostarczające przez parowanie wody do picia. Napełniono je wodą i całkowite ciepło stosów elektrycznych puszczone zostało przez zanurzone w niej wężownice. Za kilka minut woda ta dosięgła stu stopni! Zwrócono ją do pomp, a w miarę ubywania, zastępowano wciąż świeżą. Gorąco wywiązane ze stosów było tak wielkie, że zimna woda czerpana z morza, przeszedłszy ledwie przez przyrząd, wpływała wrząca do pompy. Zaczęło się pompowanie i po upływie trzech godzin termometr zewnątrz statku wskazywał sześć stopni poniżej zera. W dwie godziny potem wskazywał już tylko cztery.

— Powiedzie nam się — rzekłem do kapitana.

— Tak myślę — odpowiedział. — Nie zostaniemy zmiażdżeni, pozostaje tylko lękać się uduszenia.

— Przez noc temperatura wody podniosła się do jednego stopnia nad zero. Wrzące wytryski nie zdołały posunąć jej wyżej. Ale ponieważ zamarzanie morza następuje dopiero przy dwóch stopniach zimna, byłem więc pod tym względem zupełnie spokojny.

Nazajutrz rów wydrążony był do głębokości sześciu metrów. Pozostawało zatem do wyrąbania tylko cztery metry, to jest na czterdzieści ośm godzin pracy. Powietrze nie mogło już być odnawiane wewnątrz »Nautilusa«. To też dzień ten stawał się co chwila przykrzejszym.

Przygniotła mnie nieznośna ciężkość. Około godziny trzeciej po południu, męczące to uczucie wzrosło do wysokiego stopnia. Ziewanie rozciągało mi szczęki. Płuca moje dyszały. Umysł mój zaczął bezwładnieć. Leżałem rozciągnięty bez sił, prawie bez przytomności. Poczciwy mój Konsel, nawiedzony temiż samemi objawami, doznając tych samych cierpień, nie opuszczał mnie ani na chwilę. Brał mnie za rękę, dodawał odwagi i szeptał.

– Ah! gdybym mógł nie oddychać, żeby zostawić panu więcej powietrza.

Słysząc to, czułem, że łzy cisnęły mi się do oczu.

Przy tak nieznośnem położeniu wewnątrz statku, z jakimże pospiechem, z jaką radością wdziewaliśmy przyrządy nurkowe, gdy przyszła na nas kolej do pracy! Oskardy dudniły po lodzie, męczyły się ręce, kaleczyły dłonie. Lecz cóż znaczyło znużenie i rany? Ożywcze powietrze płynęło w płuca! Oddychaliśmy!

A jednak nikt nie przedłużał swojej podwodnej pracy nad czas oznaczony. Po skończeniu roboty, każdy składał dyszącym towarzyszom ów życiodajny przyrząd. Kapitan Nemo dawał przykład i pierwszy ulegał tej surowej karności. Gdy przyszła pora, ustępował swój przyrząd innemu i wracał do zepsutej atmosfery statku, zawsze spokojny, bez śladu znękania bez skargi.

Tegoż dnia robota wykonywana była z większą jeszcze dokładnością. Pozostały już tylko dwa metry do wyrąbania na całej przestrzeni rowu. Dwa metry tylko dzieliły nas od wolnego morza. Ale rezerwoary powietrza były już prawie wyczerpane. Tę trochę, co się zostało, należało zachować dla robotników.

Wróciwszy na statek, zostałem nawpół zaduszony. Co za noc! Nie zdołam jej opisać. Takie cierpienia nie dają się wypowiedzieć. Nazajutrz mój oddech był ciężki. Do bólu głowy przyłączył się odurzający zawrót, wskutek czego byłem jak pijany. Towarzysze moi doznawali takich samych symptomatów, kilku ludzi załogi prawie konało.

W tym dniu, szóstym naszego uwięzienia, kapitan Nemo, uważając działanie motyk i oskardów za zbyt powolne, postanowił zgnieść warstwę lodu, dzielącą nas jeszcze od morskiej głębiny. Ten człowiek zachował całą swą zimną krew. Siłą moralną pokonywał cierpienie fizyczne. Myślał, obliczał, działał.

Na rozkaz jego ulżono statkowi, który skutkiem zmiany ciężkości gatunkowej, uniósł się z lodowego łożyska. Sprowadzono go na ogromny rów i napełniono zbiorniki; »Nautilus« opuścił się i osiadł w rowie.

Wówczas cała załoga wróciła na statek i podwójne drzwi zostały szczelnie zamknięte. »Nautilus« leżał na warstwie lodu nie mającej nawet całego metra grubości i podziurawionej świdrami w tysiącu punktach. Otworzono zupełnie rury zbiorników, w które rzuciło się sto sześciennych metrów wody, zwiększając ciężar »Nautilusa« o sto tysięcy kilogramów. Czekaliśmy, słuchali, zapominając swych cierpień, żywiąc jeszcze nadzieję. Była to ostatnia stawka w grze ocalenia!

Pomimo szumu, napełniającego mi głowę, usłyszałem drżenie pod pudłem »Nautilusa«, zaczynającego się poruszać. Lód pękł z szczególnym trzaskiem, podobnym do darcia papieru i »Nautilus« opuścił się.

— Przechodzimy! — szepnął mi Konsel do ucha.

Nie byłem w stanie mu odpowiedzieć. Porwałem go za rękę i mimowoli konwulsyjnie ścisnąłem.

Nagle, party swoim olbrzymim obciążeniem, »Nautilus« wpadł w wodę jak kula.

Natenczas całą siłę elektryczną zwrócono na pompy, które zaczęły natychmiast wyrzucać wodę ze zbiorników. Po kilku minutach spadanie nasze zostało pohamowane. Śruba, wirując z całą szybkością, sprawiała, że żelazne pudło drżało i unosiło nas ku północy.

Ale jak długo miała trwać żegluga pod lodowiskiem, do miejsca wolnego na morzu? Może cały dzień jeszcze? Byłbym wprzód umarł!

Nawpół rozciągnięty na kanapce w bibliotece, dusiłem się. Twarz moja zrobiła się fioletowa, usta sine! wszystkie władze życiowe zostały w zawieszeniu. Nie widziałem już, nie słyszałem. Pojęcie czasu zatarło się w mym umyśle.

Nie mógłbym oznaczyć liczby przebytych w tym stanie godzin. Miałem jednak poczucie zaczynającego się konania. Wiedziałem, że umieram...

Nagle odzyskałem przytomność. Kilka tchnień powietrza przeniknęło me płuca. Czy wypłynęliśmy na powierzchnię fali? Czyśmy przebyli już lodowisko?

Nie! to Ned i Konsel, dwaj zacni przyjaciele, poświęcali się, by mnie ocalić. Zostało jeszcze w jednym przyrządzie parę odrobin powietrza. Zamiast odetchnąć nim sami, zachowali je dla mnie i dusząc się, sączyli mi życie kropla po kropli. Chciałem odepchnąć przyrząd, zatrzymali mi rękę i oddychałem kilka chwil z rozkoszą...

Spojrzałem na zegar: była godzina jedenasta zrana. Mieliśmy więc 28 marca. »Nautilus« pędził z przerażającą szybkością czterdziestu mil na godzinę?

Gdzie był kapitan Nemo? Czy już nie żył? Czy towarzysze jego pomarli z nim razem?

W tej chwili przyrząd wskazywał, żeśmy się znajdowali tylko o dwadzieścia metrów pod powierzchnią morza. Zwyczajna kra nad nami. Czyby nie dało się jej przebić?

Może? W każdym razie »Nautilus« miał spróbować. Czułem, że w rzeczy samej przybierał prostopadłe położenie, upuszczając tył i podnosząc do góry ostrogę. Wprowadzenie wody starczyło na zmianę równowagi. Potem, pchnięty potężnym ruchem swej śruby, uderzył w spód kry, jakby olbrzymim taranem. Rozbijał ją potrochu, cofał się i godząc znów z całą szybkością, coraz to bardziej rozrywał; w końcu wybiegł w najwyższym pędzie na wierzch lodowej płyty, druzgocąc ją swym ciężarem.

Otworzono, rzec można — oderwano klapę — i strumień świeżego powietrza ogarnął wszystkie części »Nautilusa«.

(Ciąg dalszy nastąpi).

IDZIE ZIMA.

Chociaż się słońca promyk przewinie —
Koło południa zagrzeje człeka,
To wnet, jak uśmiech szczęścia, przeminie —
Zaledwie błysnął i już ucieka.
I ziemia coraz bardziej jest pusta,
Szron się po dachach bielutki ściele,
Uśmiechem nie chcą skrywać się usta,
Gdyż przyjdzie zima za dni niewiele.
Śniegiem się cała ziemia zabieli,
Pod jego puchem skryją się wioski...
Ach! żeby w takiej śnieżnej pościeli
Znikły na wieki i nasze troski!!

Ant. St. Bassara.

Z TYGODNIA.

Na Jasnej Górze. Dnia 1 listopada wraz ze zniesieniem pokuty dla OO. Paulinów opuścili klasztor dotychczasowi komisarze, księża świeccy, a zarząd przeszedł w ręce nowego przeora Paulinów, O. Welońskiego. Nabożeństwa w kaplicy z cudownym Obrazem odbywają się już po dawnemu, ponieważ pokuta klasztorna już się skończyła.

Reforma wyborcza do Sejmu. Wiadomo czytelnikom z naszych sprawozdań sejmowych, że Rusini obstrukcyą udaremniają przeprowadzenle reformy wyborczej, podając za powód, że przyniosłaby im krzywdę. Z Rusinami niema więc zgody, natomiast stronnictwa polskie dokazały tego, że przyszło między niemi do zupełnego porozumienia i wszystkie stronnictwa poczyniły pewne ustępstwa. Przynosi to chlubę stronnictwom polskim i świadczy, że w narodzie polskim, kochającym ojczyznę nadewszystko, zawsze może zapanować zgoda, gdy chodzi o pożytek kraju. Według umowy, Sejm ma się składać z następujących członków:

Wirylistów		15,	dotychczas jest: 12
Z wielkiej własności	posłów	44	» » 44
Z miast	»	36	» » 28
Z Izb handlowych	»	5	» » 3
Z Izb rękodzielniczych	»	2	» » —
Z kuryi powszechnej	»	10	» » —
Z kuryi wiejskiej	»	80	» » 74
Razem		192 posłów	161

Z tego na Rusinów ma przypadać: wirylistów 3, z wielkiej własności 1, z miast 2, z kuryi powszechnej 2, z wiejskiej 38, razem 46 posłów.

Jak pisaliśmy, powód u Rusinów w tej sesyi nie przyjdzie zapewne do uchwalenia reformy wyborczej. Jednakowoż zawarta między stronnictwami polskiemi umowa pozostaje i w przyszłej sesyi przyniesie pożytek.

Drogi wodne. Komisya wodna Sejmu w myśl referatu pos. Kędziora uchwaliła rezolucye żądające wykonania ustawy z r. 1901 w całej rozciągłości, a co do wykonania kanału galicyjskiego wzywające rząd, aby bezzwłocznie przystąpił do budowy kanału Odra-Wisła na przestrzeni galicyjskiej oraz, aby opracował szczegółowe projekty kanału Wisła-Dniestr z odnogą do Lwowa. Dalej domaga się rezolucya, aby kanały były duże i aby rząd skanalizował Dniestr od Rozwadowa do Halicza.

Nowy powiat polityczny w Galicyi. Od kilku lat istnieje już w Galicyi osobny powiat autonomiczny (Rada powiatowa) przeworski, oddzielony przed kilkoma laty od dawnego łańcuckiego. Przed dwoma laty polecił Sejm Wydziałowi krajowemu aby przygotował prace, potrzebne do utworzenia także osobnego powiatu politycznego przeworskiego, z osobnem starostwem. Wydział krajowy przygotował taki projekt i zaproponował, aby powiat polityczny obejmował te same gminy i obszary dworskie, które obejmuje powiat autonomiczny przeworski. Komisyi administracyjnej wydał się ten projekt niewłaściwym i żąda, aby Wydział krajowy zajął się opracowaniem nowego projektu, tak obmyślonego, aby oba przyszłe powiaty były mniejwięcej równe co do rozmiarów i liczby ludności, oraz uwzględniał dzisiejsze połączenie kolejowe istniejące w obu powiatach, oraz żyzność okolic tak, by obciążenie i wygody ludności obu powiatów były mniejwięcej równe.

Jak kłamią Rusini. W ostatnim tygodniu gazety ruskie odkryły „ruską Wrześnię“. Mianowicie zaczęły opisywać, że w Żulinie pod Stryjem nauczyciel-Polak zakatował na śmierć ruskie dziecko za to, że nie chciało mówić pacierza po rusku. Co się jednak okazało prawdą?

W szkole w Żulinie, w powiecie stryjskim, zmarł chłopak, uczęszczający do szkoły ludowej Michał Kochańczuk. Żandarm (Rusin) doniósł prokuratoryi państwa, że chłopak zmarł z powodu pobicia przez nauczyciela — tymczasem — sądowo lekarska komisya (radca sądowy Rusin i lekarz sądowy Rusin) uznała, że Kochańczuk zmarł z powodu suchot, których chyba z pobicia nie dostał. Sprawdzono nadto, że ucznia tego nauczyciel wcale nie bił!

Rozgłoszono i roztelegrafowano na wszystkie strony świata, że nauczyciel i nauczycielka biją dzieci ruskie, co jednak okazało się wierutnem kłamstwem, a nauczyciel i nauczycielka, po ostatniej wizytacyi inspektora krajowego szkół (p. Matijowa także Rusina) otrzymali pochwałę za pilną i gorliwą pracę.

Tak to Rusini odwdzięczają się za sumienną pracę Polaka około wychowania ich dzieci. Wymyślano cały szereg wierutnych kłamstw, o wieszaniu dzieci na tablicy, o klęczeniu na śniegu, o karaniu za odmawianie modlitwy po rusku, tymczasem, dzieci na niższych stopniach odmawiają modlitwę chórem zawsze po rusku, a na wyższych stopniach kolejno po polsku lub po rusku, stosownie do obrządku tego, który modlitwę odmawia. Lecz nic dziwnego — oto przybył do wsi kandydat na nauczyciela Rusin — Ukrainiec-hajdamaka, więc chodzi prawdopodobnie o to, aby mu opróżnić miejsce i dlatego „hajże na Lacha“. Rusini postarali się o fałszywe doniesienia do gazet rosyjskich i te wypisują teraz mnóstwo o »ruskiej Wrześni«, i o mordowaniu dzieci ruskich przez Polaków. Wrogowie nasi wierzą temu i obrzucają obelgami Polaków.

W Poczdamie odbyło się uroczyste przyjęcie cara Mikołaja przez cesarza Wilhelma. Car zabawił w zamku cesarza dwa dni i odbyły się wielkie bankiety, bale i t. d. Równocześnie naradzali się nad sprawami politycznemi ministrowie spraw zagranicznych obu państw, rosyjskiego i niemieckiego. Podobno porozumiano się we wszystkich sprawach politycznych i będzie zgoda między oboma państwami. Nam Polakom, nic dobrego ta zgoda dwóch naszych gnębicieli nie przyniesie.

Śmierć wielkiego szpiega. Były rosyjski tajny agent w Paryżu i naczelnik policyi politycznej Raczkowski zmarł onegdaj w Petersburgu na atak sercowy. Raczkowski odegrał w służbie policyjnej rosyjskiej ważną rolę. On to pozyskał wielu rewolucyonistów do usług w policyi tajnej. Znane były jego stosunki z popem Gaponem, Azefem i wielu innymi agentami, którzy jednocześnie służyli i rewolucyi i rządowi.

Rewolucya w Hiszpanii. W połowie zeszłego tygodnia rozeszły się pogłoski, że w Hiszpanii wybuchła taka sama rewolucya jak niedawno w Portugalii. Pogłoski o jej wybuchu, krążące po Paryżu, były jak się zdaje tylko wymysłem radykałów francuskich. Ale że grunt w Hiszpanii bardzo niebezpieczny i że masonerya ogromnie pracuje nad wywołaniem rewolucyi, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Burza w Europie zachodniej. Szalony wicher północno-zachodni panował przez kilka dni we Francyi i Anglii. Nam przyniósł on tylko deszcz, na zachodzie zaś europejskim stał się przyczyną wielu nieszczęść. Burza rozpętała się niezwykle silnie w kanale La Manche. Między Anglią a Francyą przestały kursować parowce, pełniące służbę przybrzeżną w Normandyi. Rozbiło się kilkanaście okrętów. Również z wybrzeża Anglii donoszą o wielu nieszczęśliwych wypadkach i licznych ofiarach. Kapitanowie okrętów zapewniają, że oddawna już nie zaznali podobnej burzy.

KRONIKA.

Ksiądz metropolita Szeptycki. *Prikarpatskaja Ruś* podaje pogłoskę, że arcybiskup ruski we Lwowie ks. metropolita Szeptycki, po powrocie z Ameryki, zostanie kardynałem ze stałą siedzibą w Rzymie, pozostając dalej metropolitą. Dla Lwowa będzie przeznaczony biskup amerykański ksiądz Soter Ortyński, jako biskup sufragan.

Uroczystości w Białej. W niedzielę poprzednią odbyło się uroczyste poświęcenie gmachu polskiego gimnazyum realnego i seminaryum nauczycielskiego. Gmach powstał z funduszów daru grunwaldzkiego, ofiar prywatnych i zapisu ś. p. Zygmnnta Jałbrzykowskiego w kwocie 30.000 rubli. Po nabożeństwie, w którem wziął udział tłum publiczności, Sokoli, straż ogniowa, goście i młodzież, a śpiewał chór seminaryum nauczycielskiego, ruszył pochód do budynku gimnazyum, gdzie zebrali się prócz miejscowej publiczności zaproszeni goście. Ks. biskup Nowak wygłosił przemówienie. Następnie radca szkolny p. Mieczysław Zaleski złożył imieniem Rady szkolnej kraj. życzenia pomyślnego rozwoju instytucyi, dziękując Tow. Szkoły ludowej za pracę nad rozwojem oświaty w kraju. Imieniem powiatu bialskiego przemówił poseł do Rady państwa i marszałek pow. Łazarski, imieniem uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Morawski, imieniem związku Sokołów Dr. Rowiński, imieniem śląskiej Macierzy szkolnej prof. Mohr, prezes Tow. Szkoły Ludowej Bandrowski, dyrektor gimn. i seminaryum w Białej prof. Stein i jeden z uczniów seminaryum. Równocześnie z uroczystością w auli odbyło się na dziedzińcu zakładu zgromadzenie ludowe, w którem wzięło udział przeszło 1 500 ludzi. Przemawiali prof. Podgórski z Białej, Tabaczyński z Krakowa, poseł Wiącek imieniem Koła polskiego, włościanin Bukowski z Lipnika. Wszyscy cieszyli się, że na kresach zachodnich Polski powstało nowe źródło oświaty.

Niezwykłego ptaszka udało się schwycić policyi w Tarnobrzegu nad Wisłą. Mianowicie zauważono tam jakiegoś człowieka dość podejrzanie wyglądającego i aresztowano go, ponieważ wydał się komuś podobnym do owego zbrodniarza Stanisława Załoga, który popełnił świętokradztwo na obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej i dopomagał Damazemu Macochowi do skalania Jasnej Góry bratobójstwem. Uwięziony wypierał się, jakoby był Załogiem, ale odpowiadał jakoś kręto, niepewnie na zadawane mu pytania. Sprowadzono z Krakowa najzręczniejszego inspektora policyi, który rychło dopytał się wszystkiego. Cóż się okazało?

Oto maryawici, sekciarze, którzy odszczepili się w Królestwie od kościoła katolickiego i po heretycku ciągną do schizmy prawosławnej, postanowili zarzucić sieci na nasz polski lud w Galicyi. Do tego użyli Antoniego Przeorskiego, tego właśnie człowieka, niby księdza, aresztowanego w Tarnobrzegu. Jego historya jest ciekawa:

Liczy on lat 38 i pochodzi z Kątów w gubernii radomskiej. Był on w seminaryum duchownem w Sandomierzu w Królestwie i tam otrzymał niższe święcenia; ze seminaryum, jak powiada, dobrowolnie wystąpił; zdaje się jednakże, że go wydalono. Po wydaleniu przybył do Galicyi i tu pracował w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. Z Krakowa pojechał do Ameryki, sądząc, że tam zrobi świetną karyerę. Spotkał się wszakże z rozczarowaniem; dłuższy czas pracował jako robotnik, a wreszcie zgłosił się do »biskupa« Kozłowskiego. Ten Kozłowski, to ksiądz, który się sprzeniewierzył Kościołowi św. i sam się ogłosił biskupem. Temu więc Kozłowskiemu Przeorski oświadczył, że pragnie zostać »księdzem« starokatolickim. Ostatecznie Antoni Przeorski otrzymał heretyckie święcenia i został takim »księdzem«. Pracował w Chicago i w innych miastach. Zeszłego roku przybył potajemnie do Królestwa Polskiego. Według wyjaśnień Przeorskiego, pragnął on zobaczyć swoje miejsce rodzinne i odwiedzić rodzinę. Z Królestwa po krótkim pobycie powrócił do Ameryki; po raz drugi przybył do rodziny tego roku, również potajemnie. Przeorski tłomaczy ukrywanie się przed władzami tem, iż nie odbył służby wojskowej w Rosyi.

Przy Przeorskim znaleziono wszakże cenne pisma, rzucające światło na jego wyjazdy do Królestwa; znaleziono list amerykańskiego »biskupa« Kozłowskiego do jednego z wybitnych maryawitów, zalecający im Przeorskiego, jako człowieka godnego zaufania i umiejącego energicznie pracować. Dalej znaleziono list, polecający go jednej z zamieszkałych w Galicyi osób, do której właśnie jechał przez Zbydniów, gdzie go aresztowano. Między listami, znalezionemi u Przeorskiego, znajduje się jeden, tłomaczący, że go »mateczka« Kozłowska jeszcze przyjąć nie mogła. Więcej dokumentów niema, ale jest oczywiste, że Przeorski był na usługach maryawitów i chciał bałamucić naszych wiernych katolików.

Strajk w drukarni księdza Stojałowskiego w Białej wybuchł tak nagle w zeszłym tygodniu, że jeden numer, wychodzącej tam gazetki nie pojawił się. Pracownicy podają za powód, że zarząd drukarni używał ich do rozmaitych zajęć, które z drukarstwem nic nie mają wspólnego: rąbania drzewa, szatkowania kapusty, skrobania kartofli, przywozu węgli i t. d.

Pożary. W Narolu, wsi pow. cieszanowskiego spłonęło 10 gospodarstw włościańskich. Szkoda jest znaczna i nie była ubezpieczona. — W Uwsiu, powiatu podhajeckiego zniszczył pożar 5 gospodarstw włościańskich. W płomieniach zginęły trzy osoby. Przyczyna pożaru nieznana. — W Mistkowicach, powiatu samborskiego spłonęły 3 domy i 6 stodół z całym tegorocznym plonem. Ogólna szkoda wynosi blisko 20.000 kor. i była ubezpieczona na 11.449 kor. w krakowskiem Tow. wzaj. ubezpieczeń. Przyczyną pożaru było nieostrożnie palenie tytoniu.

Jak emigranci bywają oszukiwani, świadczy następujące opowiadanie jednego z włościan, który wybrał się »na Saksy«. Opowiada on: »Na wiosnę b. r. niejaki Michał Medyński z Oleszy namówił i zebrał nas około 60 ludzi na wyjazd do robót polnych do Czech; tymczasem zawiózł nas do Krakowa do biura Maryi Cybulskiej. Gdyśmy tu posiedzieli dwa dni, zabrali nas żydzi Schiffman i Drukier i wywieźli za granicę do Mysłowic. Medyński, wziąwszy za nas 80 kor., wrócił do domu. Gdybyśmy byli wiedzieli, że Medyński nas zostawi w Krakowie, bylibyśmy sami chętnie pojechali za granicę swoim kosztem i nie potrzebowali, by żydzi nami handlowali. Na granicy siedzieliśmy znów kilka dni gdyż z początku nie chcieliśmy się dzielić na małe partye, bo nam mówiono, że będziemy razem pracować w jednym dworze. Potem zmuszono nas głodem (bo żydzi nie dali nam na wikt) i besztaniną, abyśmy słuchali, podzielono na małe partye, porozsyłano to do cegielni, to do drobnych właścicieli, a było nam tak dobrze, że połowa prawie piechotą wróciła do domu. Poświadczyć to mogą: Michał Dobrudzki, Jędrzej Szczepański, Anna Szczepańska, Katarzyna Załuska, Apolonia Załuska, Michał Gulak syn Wasyla, Dominik Wit, J. Magoła, Honorata Krajewska. W razie potrzeby damy więcej świadków«. Z tego płynie nauka, że nie należy ufać bylejakim agentom i bylejakim biurom!

42 tysiące koron w śmietniku. Policya i sąd we Lwowie zajmują się obecnie sprawą, na dnie której ukrywa się straszna zbrodnia. W realności przy ulicy Szpitalnej we Lwowie mieszkała od szeregu lat właścicielka, Reizla Günsbergowa, licząca lat 76, bardzo bogata żydówka; zajmowała 4 pokoje w swej kamienicy, w której więcej nikt nie mieszkał, gdyż władze nie pozwoliły wynajmować mieszkań nikomu już od chwili jej zbudowania, tak licho dom był budowany. Żydówka przeto mieszkała sama, żywność zaś przynoszono jej z pobliskiej restauracyi. Günsbergowa, która wiedziała o swej opinii bogaczki, żyła zawsze w trwodze o swe życie i dlatego prowadziła tryb życia bardzo odosobniony i zamknięty. Dlatego też powszechne zdziwienie i niepokój wśród nich wywołała okoliczność, że od dnia 13 października Günsbergowa zupełnie znikła. Zawiadomiony o tem siostrzeniec Günsbergowej, właściciel handlu instrumentów muzycznych, J. Kapralik, udał się w dniu 17 października do jej mieszkania i począł się dobijać do drzwi; ponieważ jednak w odpowiedzi doszły go tylko niezrozumiałe jęki, wezwano przeto ślusarza, który wyłamał drzwi wiodące do mieszkania.

Tu przedstawił się oczom p. Kapralika i towarzyszących mu osób widok okropny. Günsbergowa zupełnie naga, leżała na ziemi, pozbawiona całkowicie przytomności. W pokoju było przenikliwe zimno, ponieważ jedno z okien wychodzących na ulicę, było zupełnie otwarte. Lekarz stwierdził ciężkie zapalenie płuc. Günsbergowa po ciężkich męczarniach zmarła w dniu 22 października, nie odzyskawszy przytomności. W mieszkaniu stwierdzono brak wielu kosztowności, które zmarła posiadała. Wiadomem było również, że zmarła, obawiając się zawsze rabunku, nosiła cały swój majątek w torbie na piersiach. Torby owej również nie znaleziono.

Tymczasem 30 października zjawiła się na policyi Adela Podstolska, właścicielka szynku przy ul. Bożniczej, która złożyła kwotę około 150 kor., podając, że otrzymała je od niejakiego Dykiela, kościarza, który powiedział nadto, że jego znajomy, również kościarz, Biernacik, posiada książeczki Kasy oszczędności na znaczną kwotę. Dykiel podał, że zarówno jego pieniądze, jak i owe książeczki znaleźli na śmietniku. Wobec tego policya aresztowała obu i podała ich dokładnej rewizyi, oraz przesłuchaniu. Rewizya wydała wynik nadspodziewany. Przy Biernaciku znaleziono bowiem 3 książeczki galicyjskiej Kasy oszczędności na rozmaite nazwiska wystawione, oraz jedną książeczkę Banku krajowego, wszystko razem na łączną kwotę 42.000 koron. Przy Biernaciku znaleziono nadto złoty zegarek.

Obaj aresztowani przeczą jednak jakiemukolwiek swemu udziałowi w obrabowaniu Günsbergowej. Ale zdaniem policyi prawdopodobnie rzecz miała się tak, że sprawcy, dowiedziawszy się o zamożności Günsbergowej, zakradli się do mieszkania jej, obdarli ją, w poszukiwaniu owej torby z pieniądzmi, z ubrania, a zrabowawszy, co się dało, uciekli oknem, pozostawiając nagą i oszołomioną napadem żydówkę na podłodze. W następstwie chłodu, panującego w mieszkaniu, z powodu otwartego okna, dostała Günsbergowa zapalenia płuc i zmarła, nie odzyskawszy już przytomności.

Awantury w szpitalu. Na oddziale dla chorób umysłowych w lwowskim szpitalu garnizonowym wybuchły poważne niepokoje. Zbuntowani waryaci rzucili się na dozorców, a potem rozpoczęli niszczyć urządzenia i sprzęty w salach, wyrządzając tem znaczną, bo 1.200 kor. sięgającą szkodę. W końcu udało się dozorcom przywrócić porządek.

Wypadek na rampie kolejowej. Dnia 28 z. m. około godz. 12 w południe na torze kolejowym między Kozową a Słobodą Złotą przy klm 68 wjechał pociąg osobowy na rampie na wóz, należący do włościanina Jakóba Tymczyszyna z Wiktorówki, który samowolnie otworzył zamkniętą rampę przed pociągiem dla przejechania przez tor. Lokomotywa, uderzywszy wóz, połamała go w drobne kawałki i zabiła obydwa konie. Tymczyszyn z wypadku tego wyszedł bez szwanku. Miał prawdziwe szczęście.

Straszny kochanek. W Hajduhadhara, na Węgrzech, niejaki Jędrzej Szalmari zakochał się w 16-to letniej dziewczynie z tejże wioski, Zuzannie Racz. Dziewczyna jednak ani słyszeć nie chciała o jego miłości, gdyż, jak mówiła, źle mu patrzy z oczu. Przed kilku dniami przyszedł Szalmari do domu dziewczyny i zapytał jej jeszcze raz, czy chce być jego żoną.



— Nigdy, przenigdy! — odpowiedziała Zuzia!

Wtedy Szalmari, rozjuszony, rzucił się ku dziewczynie, lecz ta wybiegła na pole i skryła się w kukurudzy. Pobiegł za nią Szalmari, a dopadłszy wśród kukurudzy, wystrzelił z rewolweru, wołając:

— Nie chcesz być moją, więc nie będziesz niczyją!

Dziewczyna ugodzona kulą wyzionęła ducha na miejscu. Ojciec zabitej rzucił się na mordercę, aby mu wyrwać straszną broń, lecz ten zdołał jeszcze wystrzelić, zabijając ojca Zuzi. Trzecim strzałem odebrał sam sobie życie. Do czego to prowadzi nierozwaga i brak zastanowienia.

Zajście w kościele. W pewnej wsi pod Płockiem przyszło tymi dniami, w niedzielę, podczas kazania, do scen oburzających. Mianowicie, gdy ksiądz w kazaniu karcił postępki niemoralne, jakiś młodzieniec zawołał do księdza: »Idźcie do Częstochowy!« To odezwanie się zuchwałego młokosa do tego stopnia oburzyło zgromadzonych w kościele włościan, że stojący w pobliżu niego poczęli go kułakować; a że ujęli się za nim rodzice jego i rodzeństwo, więc wywiązała się formalna bójka, w której srodze owego młodzieńca i jego rodzinę poturbowano. Oburzenie to było całkiem zrozumiałe i słuszne, ale nie powinno było tak się objawiać w świętem miejscu. Należało zuchwalca wyprowadzić z kościoła.

Smutne skutki zalotności. We wsi Domanicach, w pow. siedleckim w Królestwie, 12 parobków wszczęło między sobą bójkę, której przyczyną była dziewczyna. Parobcy przez długi czas zalecali się do owej panny i każdy z nich uważał się za narzeczonego, nie wiedząc, iż inni również mają się za nich, bowiem szczęśliwa władczyni serc umiała zachować tajemnicę każdego i za nos wodzić kawalerów. Obecnie kawalerowie dowiedzieli się, że każdego zwodzi narzeczona. Wynikiem tego była awantura, która się skończyła fatalną bójką na noże. Kilku uczestnikom walki grozi utrata życia wskutek otrzymanych ran. Ile to złego narobić może jedna niestateczna dziewczyna!

Zgubione zarazki dżumy. Do jednego z urzędów policyjnych w Petersburgu przybyła kobieta i okazała jakieś znalezione drewniane pudełko, żądając, by jej wydano prawem przepisaną trzecią część, jako znaleźne. Pudełko otwarto i znaleziono w niem dwie bańki szklane, a w nich płuca ludzkie, wątrobę i śledzionę. Wkrótce potem do urzędu przyszedł lekarz z Helsingforsu, w Filandyi, Willebrand i oświadczył, iż zgubił pudełko z flaszeczkami, w których były wnętrzności ludzkie, wycięte ze zwłok zmarłego na dżumę. Lekarz otrzymał owe wnętrzności zadżumionego z Odessy zwykłą przesyłką pocztową ze szpitala do celów naukowych. W urzędzie zapanował przestrach i na gwałt posłano po lekarzy, gdyż zadżumione wnętrzności brali do rąk policyanci i stróże. Lekarz helsingforski skorzystał z zamięszania i uciekł. Poczyniono natychmiast środki zapobiegawcze. Kobietę, która przyniosła pudełko do cyrkułu, stróżów i policyantów umieszczono w szpitalu, urząd zaś natychmiast poddano dezynfekcyi. Słoje odesłano do instytutu medycyny.

Uroczystości Matki Boskiej koło Neapolu. Niema na świecie ani jednego dobrego katolika, który nie pałałby jakąś nadzwyczajną miłością ku Najświętszej Maryi Pannie. To też cały świat katolicki niezwykle uroczyście obchodzi wszystkie święta Matki Boskiej. W tej czci Królowej niebios pierwsze miejsce zajmuje naród polski, a także niektóre ludy romańskie. W dniu Narodzenia Najśw. Maryi Panny w miejscowości Piediegrotta koło Neapolu urządzają Włosi ciekawe uroczystości.

Po skończeniu nabożeństw w kościele tysiące ludzi wylegają na ulice, dziesiątki tysięcy schodzą i zjeżdżają się ze wszystkich stron południowych Włoch, aby wziąć udział w uroczystościach i zabawach. Na ulicach brzmią niezliczone instrumenty muzyczne: mandoliny, gitary, tamburyny i wiele innych. Ulice i place, po których przewijają tysiączne tłumy strojnej ludności, przemieniają się w jakieś pstre, zgiełkowe widowisko. Młodzi chłopcy i dziewczęta, strojni w barwiste wstęgi, pióra i kwiaty, pląsają po ulicach i śpiewają wesołe pieśni przy dźwięku tysiącznych instrumentów. Z nastaniem zmierzchu rozpoczyna się wspaniały pochód mnogich wozów, ubranych w kwiaty i obwieszonych barwnymi lampionami, w których płoną liczne światła.



Na wozach tych siedzą całe gromady ludzi rozbawionych, śpiewających, uderzających w struny gitar i mandolin. Jednem słowem, całe święto ma nader wesoły charakter, wszędy na publicznych miejscach widać stoły, zastawione smacznemi potrawami i pełne naczyń z winem i innymi napojami. Uroczystość trwa bez przerwy 40 godzin.

Niegdyś, gdy Neapol był stolicą państwa Obojga Sycylii, w odpuście w Piedigrotta brał udział także król z całym dworem — dziś niema króla ani dworu, ale na uroczystość zjeżdża się cała okoliczna ludność.

Podając opis tych uroczystości, czynimy to nie dlatego, aby je pochwalać i do nich zachęcać, gdyż pląsów i tańców Matka Boska nie potrzebuje, ale żeby z zwyczajem tym zaznajomić naszych czytelników. My wiemy, że najlepiej można uczcić Maryę Pannę dobrem i cnotliwem życiem, oraz szczerą modlitwą.

Sprzedawanie całusów. Że ludzie sprzedają zboże, bydło i inne rzeczy, to każdemu wiadomo, ale żeby ktoś sprzedawał całusy, w to jakoś trudno uwierzyć, a jeszcze trudniej w to, aby się znalazł ktoś taki, któryby rzecz tak bezwartościową chciał kupić. A jednak czegoż ludzie na świecie nie próbują!... a więc spróbowano też sprzedawać całusy.



Rzecz miała się tak: W okolicy Galsgowa w Anglii wybuchł był niedawno strajk ogólny we wszystkich fabrykach. Właściciele fabryk zapowiedzieli, że robotników nie przyjmą do pracy. A strajk przeciągał się z dnia na dzień i środki żywności powoli wyczerpały się. Nastała wśród strajkujących nędza. Poczęto tedy zbierać składki do kasy strajkowej. Napływały one jednak niezbyt żwawo. Do zbierania składek uproszono młode i urodziwe córki strajkujących robotników fabrycznych. Owoż do jednej z pięknych dziewcząt, odezwał się żartobliwie starszy i niebardzo piękny człowiek, że chętnie da szelinga (1 K. 20 h.), jeśli zbierająca udzieli mu całusa.

Dziewcze, chcąc się przysłużyć dobrej sprawie, spełniło warunek a inne dziewczęta poszły za jej przykładem i wkrótce kasa strajkowa zapełniła się pieniądzami. Nie jest to polecenia godny środek zbierania pieniędzy, choćby na dobry cel, ale kiedy w inny sposób nie można było grosza od skąpców wydusić, okazał się tym razem praktyczny.

Ostatni potomek Kolumba. W Madrycie umarł w wieku 72 lat Krzysztof Kolumb de la Cerda książę Fercini, ostatni potomek sławnego odkrywcy Ameryki.

Ucieczka Polki. Skutki rewolucyi portugalskiej dla duchowieństwa świeckiego i zakonnego są wiadome. Prześladowanie nie ograniczyło się na samej Portugalii, lecz rozszerzyło się i na kolonie. Na wyspie portugalskiej Maderze, słynnej z łagodnego klimatu, w starożytnym z XII wieku klasztorze mieszkają zakonnice Franciszkanki, misyonarki Maryi, które czynią wiele dobrego. Pomimo to, wobec spodziewanej napaści, musiały one ratować się ucieczką: ośm zakonnic odpłynęło do Anglii, chroniąc się do klasztoru Franciszkanek w Londynie. Między niemi jest siedm Portugalek i jedna Polka, córka starej i ogólnie szanowanej rodziny szlacheckiej w Królestwie Polskiem, Dziewanowska, od lat sześciu znana w klasztorze jako matka Marya Ludwika. Panna Dziewanowska oddaje się także malarstwu, a śliczne jej obrazy chętnie są nabywane, a zwłaszcza przez Anglików i Amerykanów.

Bójka księży z bandytami. Do kościoła katolickiego św. Leonarda w Bruklynie pod Nowym Jorkiem zakradli się trzej zamaskowani rabusie, gdzie zamierzali skraść kilka tysięcy koron gotówki, oraz złote i srebrne naczynia kościelne.



Rabusiów jednak spostrzegli księża Konig, Oppel i Sanders, którzy wydali im walkę. Po piętnastu minutach walki, w której księża użyli kijów i pięści, a bandyci noży i pałek, księża odnieśli zwycięstwo i przepędzili złoczyńców, zanim ci zdołali cokolwiek unieść. Mężni kapłani otrzymali jednak ciężkie rany.

Ratunek w śpiewie. Przyrodnicy wiedzą, że wszystkie gady a najbardziej węże, szczególnie wielkie, są wrażliwe na dźwięki, a zatem i na muzykę. Historya naturalna zna bardzo wiele przykładów usypiania lub uspakajania wężów grą albo śpiewem. Do tych nowych wypadków przybył jeszcze jeden, o którym opowiada pewna gazeta naukowa angielska.



Trzy starsze panie mieszkające stale w Indyach, udały się pod wieczór z miasta do pobliskiego lasu, aby w skwarnym dniu użyć nieco ochłody. Aby wygodniej odpoczywać, wzięły ze sobą poduszki i przybywszy do lasu, rozłożyły je na bujnej trawie. Jedna z pań, nazwiskiem Donlop, nie zauważyła, że w trawie leżał duży, jadowity wąż i że przycisnęła go poduszką. Podrażniony gad wyprężył się w górę jak kołek i już, już miał się rzucić na kobiety. Mieszkając długo w Indyach, wiedziały one, że ucieczka nic tu nie pomoże, gdyż wielki wąż łatwo je dopędzi i ukąsi. Zdrętwiały zatem z przerażenia i stały, ale na szczęście jedna z nich, najprzytomniejsza, przypomniała sobie, że słyszała gdzieś opowiadanie o wrażliwości wężów na muzykę i zaczęła śpiewać, co miała siły. Jej towarzyszki poszły za jej przykładem, i o dziwo — wąż zasłuchał się tak, że ani drgnął. Kobieciny ciągle śpiewając, umyślnie coraz mocniej, zaczęły się oddalać zrazu bardzo powoli, potem szybciej a wreszcie, znalazłszy się na kilkanaście kroków od jadowitego zwierza, obróciły się i zaczęły zmykać co sił starczyło. Przyszedłszy do najbliższych domów wiejskich, opowiedziały o bytności gada, a ludzie poszli tam uzbrojeni i zabili go.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Nadesłał Władysław Ćwieka z T.).

»Wprost« jest niemiła — nie lubią jej młodzi,
Za to »wspak« piją, chociaż on im szkodzi.

2. SZARADA.

(Nadesłał Wł. Lanoszka z S.).

Pierwsze, to nam miejsce wskazuje,
Drugie trzecie. drzewo mianuje;
Trzecie czwarte, to ludzie bogaci;
Drugie czwarte, są grubsze od nici;
Całość: piękne to są kwiatki,
Ale nie róże, ani bławatki.

3. Pytanie żartobliwe.

(Nadesłał J. Rydel z W. M.).

Co to za rzemieślniczek,
Zwie się, jak para solniczek.

4. SZARADA.

(Nadesłał Józef Kobylański z L.).

Pierwsze: to litera w alfabecie,
Drugie ujrzysz w polu, ale w lecie,
Trzecie: »dąrz«. Całość wszyscy dostaniemy,
Gdy cztery korony *Roli* przyślemy.

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy jak zwykle oprawną książkę z obrazkami. — Rozwiązania może nadsyłać każdy, lecz nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 19 listopada. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 44 *Roli*: 1. Zagadka rachunkowa: **Chłopiec liczył 15 lat, ojciec 39, dziadek 70.** 2. Łamigłówka: **Mickiewicz**. 3. Szarada: **Patyki**.

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Syn piętnaście liczył lat,
A siedmdziesiąt jego dziad;
Lat czterdzieści bez jednego,
Ojciec liczył życia swego.
Towar w pakach przesyłają,
Tyki w ogrodach bywają,
Patyki biedni zbierają,
Nimi izbę ogrzewają.

Miasto zawsze z handlu słynie,
Izydor: to męzkie imię,
Czapla żywi się rybami,
Kowale kują młotami,
Igły szwaczki używają,
Elementarz dzieci mają,
Wóz potrzebny w pracy w polu...
Insbruck, stolica Tyrolu,
Cementem murarz muruje,
Zegar czas nam pokazuje.

Pierwsze litery czytane
Z góry na dół — ukochane
Przez Polaków dadzą imię,
Które nigdy nie zaginie.
Mickiewicz tak to imię brzmi,
Dziś na Wawelu po pracy śpi..

Józef Kobylański z L.

2.

Miasto leży w dolinie,
Izydor pasie świnie,
Czapla po wodzie pływa,
Kowal kuje i śpiewa,
Igły krawiec wciąż szuka,
Elementarz nauka,
Wozem jeżdżą po polu,
Insbruck miasto w Tyrolu;
Cement do muru dają,
Zegarem czas mierzają.

Towar w paki pakują,
Na chmiel wbijają tyki,
Kogo nie stać na sągi
Musi zbierać »patyki«,

Kto ma lat »piętnaście« smarkaczem się zowie,
Kto »trzydzieści dziewięć« a ma czerstwe zdrowie,
Kto nie pija wódki, choćby pościł piątki,
Ten może docięgnie do »siedmdziesiątki«.

— — — — — — — — — — — —

Za wiek, ojca, syna, dziadka, rachowanie
Przyślijcie mi książkę, Redaktorze Panie
Kawałek jakiej ciekawej powieści,
Albo lepiej całą, gdy się w książce zmieści.

Piotr Lipowiak.

3.

Syn piętnaście wiosen miał,
Ojciec dziewięć i trzydzieści,
Dziadkowi Bóg zdrowie dał,
Bo siedmdziesiąt lat już pieści.
Adam Mickiewicz znany,
Bo on pieśni polskiej król
A z Ojczyzny wygnany,
Cierpiał, tęsknił i czuł ból.
A jesienią wiatr łamie
Suche patyki w lesie,
Biedak kładzie na ramię
I do domu je niesie.

Karol Baron z P.

4.

Sens szarady jest taki:
Na towary są paki,
Zaś w ogrodzie są tyki
Całość będzie: patyki.

Miasto miejsce sprzedarzy;
Izydor gospodarzy;
Czapla wodę pije,
Kowal młotem bije,
Igłą krawiec się szczyci,
Elementarz dla dzieci,
Wozem jechał po polu,
Insbruk miasto w Tyrolu.
Cement wożą, mospanie,
Zegar wisi na ścianie!

Całość słowo: Mickiewicz
A rozwiązał

Markiewicz.

* *

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP. Cyran Franciszek z M., Michał Wyżykowski z R., Antoni Marek z S.' Jakób Paff z Ch., Michał Pietryka z B., Aniela Muchówna z Ż., Warchoł Adam z Z., Józef Wiśniowski z W., Piotr Gródek z B., M. Dudek z Ż., Jan Łopatka z J., Rąpała Tadeusz z J., Franciszek Zyguła z Ł., Fr. Migdał z S., Władysław Stefański z G., Adela Bezokówna z K. m., Józef Gąsior z S., Józef Witek z Ś., J. Rydel z W. M., Stanisław Siciarz z J., Jan Gąsior z D., Józef Pawełek z O., Rudolf Hetper z B., Józefa Hirszberg z K., Mateusz Zięba z O. B., Jan Śliwiński z B., Wł. Lanoszka z S., Franciszka Andrusikiewicz z D., Jan Inglot z S., Leon Łętowski z S., Jan Bąbaś z S., Wład. Bąbaś z H.

Nagrodę p. t. ***Wiązanka powieści*** wylosował p. **Jan Bąbaś** z S.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Piotr Lipowiak w L.: Cieszy nas to bardzo, że mamy w Panu tak życzliwego i dobrego Przyjaciela, a cieszy tembardziej, że w projektach zupełnie się zgadzamy. Jak to sam Pan zauważył, okładkę daliśmy tak, jak to Pan myślał, nim o tem napisał. Co do konkursów mamy także projekta przygotowane od kilku tygodni a wkrótce zamienimy je w czyn. *Rolę* z każdym miesiącem będziemy ulepszać, a tym więcej włożymy w to pracy im większe znajdziemy u naszych przyjaciół poparcie. Sądzimy, że przy zbliżającym się Nowym Roku, nietylko Pan, ale wszyscy Czytelnicy dołożą starań, aby w żadnej wiosce nie brakło *Roli*, ale owszem, aby było jej po kilka egzemplarzy. Każdy z naszych Czytelników powinien sobie to poczytać za obowiązek, aby zjednać przynajmniej dwóch nowych prenumeratorów, bo wtedy i my prędzej będziemy mogli zamierzone ulepszenia wprowadzić w życie — Stanisław Ryziński w S. W.: *Rolę* wysyłamy, ale gdyby Pan chciał otrzymać kalendarz, to prosimy nadesłać jeszcze koronę za czwarty kwartał 1911, zaś 30 h. na przesyłkę kalendarza. — Franciszek Markiewicz w S.: Wierszyki dobre, więc umieścimy je, prosimy jednak na przyszłość pisać po jednej stronie papieru, gdyż tak musimy przepisywać, a czasu okropnie brak. — Stanisław Brem w K.: Ponieważ nie było wyraźnie napisane, że pieniądze przeznaczone na rok 1911, przeto wysłaliśmy numera z bieżącego roku. Sądzimy, że Pan się namyśli i rocznik sobie zostawi i kiedyś w przyszłości niejedno z przyjemnością przeczyta. — Leon Stepa w R.: Na resztę należytości wysłaliśmy gotowy czek na 80 hal. — Wł. Lanoszka w S.: Jedna szarada w numerze, druga później. — Jan Śliwiński w B.: Maciek, gdy tylko dostanie dobrą kolendę od prenumeratorów na »Gody«, da się nanowo fotografować, a mamy nadzieję, że się panienkom jeszcze bardziej będzie podobał. — Józef Pawełek z O.: Zagadki umieścimy później. Prosimy o rozpowszechnianie *Roli*. — Jan Gąsior w D.: A czemu to list nieopłacony? Musieliśmy zapłacić 20 h. — Józef Kobylański w L.: Cieszy nas uznanie Pańskie i obietnica, zwłaszcza, że przez kolegów najprędzej może się Pan przyczynić do rozpowszechnienia *Roli*. Prosimy więc o poparcie. Wierszyk będzie drukowany. — Jan Kanty Dura w Ch.: *Rola* do końca b. r. kosztuje 70 h., zaś na 1911 r. 4 korony, jeżeli Pan chce otrzymać piękny »Kalendarz Roli« bezpłatnie, to należy dołączyć na przesyłkę 30 h., czyli razem 5 koron. — Jantek z Bugaja: Zgoda. Wesołe wierszyki p. t. *Dwanaście babskich gatunków* wydrukujemy ku uciesze naszych Czytelników. Łączymy serdeczne pozdrowienia. — Leon Łętowski w S.: Czeki zaraz wysłaliśmy. Na jeden czek można posłać i kilka prenumerat, trzeba jednak napisać za kogo i ile jest posłane. *Rola*, wzmagając się w siły, coraz częściej będzie robić Czytelnikom miłe niespodzianki. — Józef Gąsior w S.: Czeki wkrótce wszystkim roześlemy.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Hetper Rudolf z B. (4 K.), Józef Witek z Ś. (4 K. 20 h.), Jurczak Andrzej z M. (2 K.), Rusinek Antoni z P. (2 K.), Stepa Leon z R. (4 K. 20 h.), Ks. Pałamar Stefan z Sz. (4 K. 20 h.), Ratyński Jan z M. (4 K.), Ryziński Stan. z S. W. (4 K.). Szymczyk Piotr z W. (2 franki)., Antoni Bilski z Rz. (2 K.), Walenty Fąfara z P. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 8 listopada:

Buhaje	Kor.	150	do	250	za sztuk.
Woły	„	200	„	320	„
Krowy	„	120	„	250	„
Jałówki	„	76	„	150	„
Cielęta	„	29	„	66	„
Owce i kozy	„	24	„	32	„
Świnie (bita waga)	„	160	„	170	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 8 listopada:

Pszenica	Kor.	10·—	do	10·65	za 50 kg.
Żyto	„	7·30	„	7·75	„
Jęczmień	„	7·60	„	8·—	„
Owies	„	7·75	„	8·—	„
Otręby pszenne	„	4·50	„	4·65	„
Otręby żytnie	„	4·40	„	4·50	„

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

JESZCZE NIE.

Na lekcyi nauczyciel dyktuje:

...»wpadli do Włoch, wymordowali kobiety i dzieci«, a spostrzegłszy, że jeden z uczniów, zamiast pisać, dokazuje, zwraca się do niego i zapytuje:

— Dąbrowski, masz już »dzieci«?

Dąbrowski (zmieszany): — Jeszcze nie, panie profesorze!

Pewna rodzina z Galicyi wybierała się do Ameryki. Starszy syn, który lubiał jeść wiele, odradzał rodzicom tej podróży.

— Dlaczego nie chcesz jechać z nami? — pytali rodzice.

— Nauczyciel mówił mi — odrzekł synek — że kiedy u nas jest południe, to w Ameryce dopiero 6-ta rano; musiałbym więc bardzo długo czekać na obiad.

ZROZUMIELI SIĘ.

Doktór: — Ależ mówiłem wam tyle razy, gospodarzu, że stawiać chlewy dla nierogacizny tak blisko domu, to bardzo niezdrowo! A jednak nie usłuchaliście mej rady.

Gospodarz: — Ady, panie doktorze, jeszczeć mi żadna świnia przez to nie zachorowała.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.